№ 38. Warszawa, dnia 9 (21) Września 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we VOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

reść Numeru: Pogadanka. –Sonet (wiersz). — Obrazki Warszawskie, przez Jana Kantego Gregorowicza (dalszy ciąg).—Wiedeń i życie wiedeńskie, przez Wiktora Tissot (dalszy ciąg). — respondencya zagraniczna (dalszy ciąg). — Przegląd literacki (dokończenie). — Od Redakcyi. **W dodatku:** Katy Coventry. przez G. J. Whyte Melville, przekład z Angielskiego K. P. (dalszy ciąg).

POGADANKA.

Ubożuchny nasz kraik, zaczynający dopiero dźwiać się z ciężkiej niemocy ekonomicznej, złożył dowód na wystawie paryzkiej, iż pomimo trudności, ıkich doznaje w swej rekonwalescencyi, posiada jenak wielki zasób sił żywotnych i krząta się gorliie około poprawy swego bytu.

Branie udziału w wystawach zagranicznych jest zeczą kosztowną, zwłaszcza dla nas, którzy od ardzo dawnego czasu nie możemy się użalać na bfitość kapitałów. Szczupła też tylko liczba nazych przemysłowców mogła przedstawić swoje wyoby do oceny sędziów przysięgłych wystawy, a jenakże, o ile dotąd wiadomo, przyznano wystawcom Królestwa 155 nagród, a mianowicie: jedną wielką agrodę (grand prix), którą otrzymała cukrownia Józefów," 16 medali złotych, 45 srebrnych, 42 ronzowych i 51 wzmianek pochwalnych (mentions onorables). Cyfry tu podane nie są jeszcze staowcze; jednakowoż zmiany, jeśli jakie nastąpią, ędą bardzo nieznaczne i w każdym razie możemy obie powinszować takiego rezultatu, który, względnie do naszych stosunków, bardzo świetnym nawać się godzi.

Blask medali paryzkich nie powinien jednakże lśnić nas tak dalece, abyśmy przeoczyć mieli inną, ieskończenie skromniejszą, ale dla nas więcej ceów praktycznych zapowiadającą wystawę w Muzeum Przemysłowem.

Wystawa ta ma się rozpocząć w październiku, ermin więc krótki, a dotąd jakoś zamało o niej słychać. Idzie tu zaś o rzecz ważną dla naszego przemysłu, bo o wykazanie stanu szklarstwa, garncarstwa i wyrobów drzewnych w naszym kraju. Przy dobrej woli możemy wystawie nadać wartość praktyczną obok pięknych cech zewnętrznych, bo posiadamy przecież huty szklanne mające europejską sławę, posiadamy racyonalnie prowadzone fabryki fajansów, cementu, cegły ogniotrwałej, a bednarstwo i pokrewne mu rzemiosła, lubo nie osięgnęły jeszcze tego stanowiska jakie powinnyby zająć, są jednak na dobrej drodze, dzięki rozpowszechniającej się zasadzie, iż możemy własną pracą zastąpić wyroby zagraniczne. Idzie więc o to, aby rozproszone dowody naszej zabiegliwości skupić przed okiem publiczności interesującej się postępem materyalnym kraju, i to właśnie jest celem wystawy, której udanie się zależy od liczby uczestników. Nie od rzeczy więc będzie przypomnienie, że termin nadsyłania deklaracyj ubiega z dniem pierwszym października i że przyjmowanie udziału w wystawie należy do obowiązków obywatelskich. Prawda, że Muzeum Przemysłowe nagradza wystawców medalami tylko papierowemi; ale czyż medal ma być jedynym bodźcem pracy i ofiarności? Wewnętrzne przekonanie o zasłudze, poparte uznaniem publicznem, do którego wystawa nastręcza sposobność, powinno być, dla nas zwłaszcza, milszem nad wszelkie cacka, choćby to były cacka szczerozłote i brylantami wysadzane.

Do Muzeum Przemysłu ma nam przybyć w roku przyszłym jeszcze jedno: właściciel Frascati, hr. Branicki, ma zamiar urządzić w tej miejscowości muzeum pszczolne i rybne, pod kierownictwem dwóch zaszczytnie znanych specyalistów, pp. Bruno na Dłużewskiego i Michała Girdwojnia. Domyślamy się że wejdą tutaj zbiory p. Girdwojnia, wywołujące podziw znawców i składające się z kilkuset okazów ryb krajowych i zagranicznych. Muzeum będzie zarazem niejako szkołą praktyczną pszczolarstwa i rybactwa, albowiem założoną będzie we Frascati wzorowa pasieka i hodowla ryb, przez co wiele osób zyska możność gruntownego poznajomienia się z temi dwiema dziś zaniedbanemi a wielce zyskownemi gałęziami gospodarstwa wiejskiego.

Nie skończyliśmy jeszcze z muzeami, bo oto niemal wszystkie pisma warszawskie drukują odezwę, wzywającą do składek na Muzeum Kopernika w Rzymie, którem zajmuje się gorliwie dr. Artur Wołyński. Do ostatecznego urządzenia tego zbioru pamiątek po mężu, który wiekopomną chlubą okrył polskie imię, potrzeba jeszcze 4,000 franków, summy stosunkowo niewielkiej; wierzymy, że się znajdzie w niedługim czasie. Do utworzenia Muzeum Kopernika najwięcej przyczynił się nasz czcigodny jubilat, J. I. Kraszewski, który doń ofiarował swoje zbiory; niemniejszą atoli jest zasługa dra Wołyńskiego, który ciężką pracą zdobywając chleb powszedni, poświęca jednak czas i siły na doprowadzenie do skutku dzieła, mającego uwiecznić imię polskie w pośród cudzoziemców. Publiczność nasza oceniła sercem tę ofiarność; i o ile wiemy składki na dopełnienie potrzebnego funduszu już się gromadzą; może więc w lutym, w rocznicę urodzin Kopernika, muzeum poświęcone jego pamięci już otwartem zostanie.

Bywają konkursy dramatyczne i — dramatyczne konkursy.

We Lwowie rozpisano już konkurs imienia Fredry; pierwsza nagroda wynosi 600, druga 300 złotych reńskich; termin przyjmowania utworów naznaczony jest do dnia 1 lutego 1879 r. Komedye uznane za godne przedstawienia, będą grane na scenie lwowskiej, a rezultat konkursu ma być ogłoszony dnia 15 maja 1879 r. Autorowie sztuk granych otrzymują 8% od dochodu brutto pierwszego przedstawienia, a 5% z następnych. Takie są główne warunki konkursu, który w roku bieżącym dał zadawalniające rezultaty, pobudziwszy kilka młodych talentów do próbowania sił swoich na niwie dramatycznej i nagrodziwszy dwie takie komedye jak „Artykuł 264" i „Uproszone Zaloty," z których pier-

wsza odznacza się niepospolitą zręcznością w budowie, a druga stoi wysoko pod względem poetycznym.

Widzimy przeto że komitet lwowski nie śpi i że ma dość szczęśliwą rękę. Pomimo najszczerszej chęci nie można tego powiedzieć o Warszawie.

— A cóż wspólnego ma Warszawa z konkursem dramatycznym? zapyta niejeden czytelnik.

Ha, łaskawi państwo, był przecie i u nas konkurs dramatyczny, ale to już tak dawno! Trzy lat blizko... nie dziw że mogliście zapomnieć. Ale był, doprawdy że był, i nawet przyznał drugą nagrodę komedyi p. t. „Pojedynek szlachetnych,“ którą część krytyki wynosiła pod niebo, druga część sądziła bardzo surowo, a publiczność drzemała na przedstawieniu. Jawny to dowód że komitet konkursowy warszawski miał nieszczęśliwą rękę.

Ale co ciekawsza, pierwsza nagroda, której nikomu na owym konkursie nie przyznano, obeszła się tak z autorami dramatycznymi jak publiczność z komedyą pana Sewera: zasnęła gdzieś głęboko i śpi sobie już blizko trzy lata, nie dając znaku życia. A musi to być sen twardy, bo choć od czasu do czasu odzywają się budzące głosy w dziennikach, pierwsza nagroda zachowuje się tak spokojnie, tak cicho, jakby jej wcale nie było.

Bywają więc konkursa i konkursa. Jedne w roku, inne w nieoznaczonych terminach; jedne dla pociechy pokolenia żyjącego, drugie... może dla wnuków. Autorowie dramatyczni mówią że wolą pierwsze. Wierzę temu, i wy zapewne także.

Nie należę do projektowiczów, jednakże przyszedł mi na myśl projekt utworzenia konkursu bardzo ale to bardzo dramatycznego. Cóż bowiem może być dramatyczniejszego nad klęski rolne? Taką klęską jest naprzykład mszyca winna (phylloxera) pustosząca winnice francuzkie, słusznie też rząd tego kraju rozpisał konkurs na wynalezienie najskuteczniejszego środka ku wytępieniu plagi, i zakończeniu tragedyi nędzy, którą teraz tysiące rodzin odgrywają. Otóż, równie straszny niszczyciel zagraża dziś naszemu rolnictwu: jest nim ów sławny i tylekroć opisywany chrząszcz kartoflowy, zwany chrząszczem z Colorado. Ukazał się on w okolicy Suwałk, na polu należącem do mieszczanina Jana Kolędy. Wprawdzie pole to zostało natychmiast przekopane, posypane trocinami, które oblano naftą i zapalono; ale czy ten środek jest dostateczny? O tem właśnie pozwalam sobie wątpić. Owad został dostrzeżony już w stanie doskonałym, to jest uskrzydlony; mógł więc przenieść się na pola sąsiednie, gdzie w roku przyszłym szerzyć będzie spustoszenie, a groźnym jest z powodu szybkiego rozmnażania się, gdyż jedna para owadów wydaje, od wiosny do jesieni, miliony potomstwa. Obym był fałszywym prorokiem, ale zdaje mi się, że w przyszłym roku, pomimo ostrożności, zniszczenie pojawi się w większych rozmiarach. Czyż więc nie byłoby na czasie rozpisanie konkursu na wynalezienie niezawodnego środka przeciw chrząszczowi?

Jest jeden środek zapobieżenia klęsce, środek, przyznaję, nieco drakoński, ale niezawodny i łatwy do wykonania, tak łatwy że z pewnością nie będzie użyty, bo cechą natury ludzkiej jest wyszukiwanie sposobów trudnych, tam gdzie najprostsze rozwiązanie samo z siebie się nasuwa. Jest to jak w owej bajce o skrzynce, którą dano mędrcowi do otworzenia: szukał w niej ukrytych sprężyn, sztucznych zamków; kunsztownych mechanizmów, a skrzynka otwierała się poprostu kluczem, jak każda inna. Otóż, ów drakoński lecz łatwy sposób zniszczenia złego w samym zarodku, polegałby na tem, aby: najprzód, zabronić mieszkańcom z całej wsi wywożenia tegorocznego zbioru kartofli za obręb wsi na sprzedaż; powtóre, aby na przyszłą wiosnę nie pozwolono sadzić kartofli, tak na polach jak w ogrodach, w promieniu trzy lub czterowiorstowym od pól Jana Kolędy. Tym sposobem gąsienice wylęgłe na wiosnę, nie znajdując żeru, musiałyby zginąć, gdyż nie zdołałyby przebyć przestrzeni, dzielącej je od najbliższych łanów zasadzonych kartoflami. Ucierpieliby na tem mieszkańcy paru gmin, lecz zyskałby ogół, a przecie *salus reipublicae suprema lex!...*

Już to rok bieżący obfituje w klęski i przypadki, groźniejsze nawet od plagi, którą jeszcze odwrócić możemy. Najprzód, spokojna nasza Europa (pod względem meteorologiczno-geologicznym, bo o politycznym nie mówię) zaczyna na stare lata wyprawiać harce wcale nie pożądane dla zamieszkujących ją narodów. Trzęsienia ziemi w Niemczech ponawiają się z coraz większą siłą; mielibyśmy zbliżać się do katastrofy, którą wieszczym tchnięty duchem wygłosił ongi dr. Levittoux w swojej „Filozofii Natury?“ Czyżby stara Europa miała istotnie w konwulsyach zakończyć żywot i być wymazaną z kuli ziemskiej? Bądź co bądź, gdybym był obywatelem nadreńskim, przesiedliłbym się z pewnością po za obręb owych 2,000 mil kwadratowych, które nawiedziło trzęsienie ziemi. A powódź w Tyrolu, a trąba powietrzna w Miskolczu, a katastrofa „Księżnej Alicyi“ na Tamizie a wybuchy gazów w kopalniach? Dawno już nie było w naszej części świata tylu kataklizmów i katastrof co w bieżącym roku... a na domiar wszystkiego, pojawiła się *da capo* kaczka, chciałem powiedzieć wąż morski, który już tyle razy był widziany, a nigdy złapany. Nie śmiejcie się: pan Andersen gotów jest przysiądz że go widział na własne oczy... ba! całą flotyllę wyprawiono w pogoń za potworem, a że flotylla powróciła z niczem, jak zwykle, to już nie wina pana Andersena, który był bardziej od innych śmiertelników uprawniony do oglądania węża morskiego, jako były członek komitetu w dziale ichtyologii na wystawie filadelfijskiej.

Przed parą tygodniami czytałem pochlebną wzmiankę o krakowiakach, wydanych przez p. Zygmunta Noskowskiego, który jest obecnie dyrektorem Towarzystwa muzycznego w Konstancyi. Miłośnikom muzyki nieobojętną będzie ocena tych utworów przez J. I. Kraszewskiego, zamieszczona w ostatnim numerze „Tygodnika Illustrowanego“ i dla tego przytaczam tutaj w całości sympatyczne słowa sędziwego estetyka:

„Dzienniki warszawskie, pisze Kraszewski, doniosły o dwóch zeszytach krakowiaków p. Zygmunta Noskowskiego, wydanych przez Kahnt'a w Lipsku a przypisanych Lisztowi. To co o nich powiedziano, iż będą dla krakowiaka tem, czem były dla mazura kompozycye Chopin'a, najzupełniej jest usprawiedliwione. Nic śliczniejszego, piękniej i umiejętniej napisanego na fortepian od dawnaśmy nie spotkali. Cacka to są, perełki, motywa które posłyszane, nie dają się zapomnieć. Forma tak udatna, tak rozumna, a razem takie to śpiewne, że się tem dość nacieszyć nie można. Co talent i nauka zrobić mogą z ludowego motywu; najlepszym dowodem zbiór pana Noskowskiego. Nie wątpimy że ci, co smak mają, potrafią te śliczności ocenić.“

SONET.

Gdyby to życie było poematem,
To jabym z duszy pieśni snuł bez końca,
Zwieńczywszy czoło śnieżnym mirtu kwiatem,
I myślą i okiem zwrócony do słońca.

* * *

Życie to—smutnym i strasznym dramatem.....
Za pozwoleniem, proszę publiczności,
Ja nie Judaszem, byłem światu bratem,
Żyjcie! kochajcie! wierzcie! Miłości święta
Złącz serca ludzi z dyamentów łańcuchem,
Niech żyje tylko ten, co żyje duchem.

Miron.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Porozumienie to jednak szło z wielkim uporem: Jan po całych dniach ciągle był zajęty nieznajomą, wiedział o której z domu wychodzi i o której powraca: domyślał się że jest biedną, że zajmuje się zarobkową pracą; idąc za nią nie spuszczał jej z oka, z zachwytem przyglądał się jej nóżkom, jej kształtnej kibici; pomimo zachodzenia to z tej to z owej strony, widział że ma zawsze oczy zwrócone ku ziemi, że na niego nie zważa, nie spostrzega go, ale na tem kończyło się wszystko.

Czasem próbował zaczepić ją pod jakim pozorem, pomówić z nią choć słów parę, ale przy każdym podobnym zapędzie tracił zaraz odwagę i zatrzymywał się w miejscu jak przybity. Raz nieznajoma upuściła rękawiczkę którą Jan natychmiast podniósł i nie czekając na namysł jak ma zużytkować tak szczęśliwe dla siebie zdarzenie, podsunął się szybko ku niej. Panienka z wdzięcznością przyjęła powrót zguby, spojrzała na młodzieńca, zarumieniła się, cokolwiek uśmiechnęła i poszła dalej. Jan nie przemówił więcej ani słowa, chciał pobiedz za nią, rzucić się na kolana choćby w obec najliczniejszych przechodniów, ale zmiarkował się, że byłoby to strasznie po waryacku. Spojrzenie jednak ślicznych ocząt nieznajomej, blask ich, uśmiech tak uroczy i niewinny zarazem, zakłopotanie się biednej panienki, zatrzymał w pamięci, i tak ciągle o nich myślał, tak je uprzytomniał, że wspomnienie to na chwilę go prawie nie opuszczało i Jan zakochał się po same uszy. Zajęty dziwaczną miłością, porzucił książki, rozmowy których tak łaknął a nawet starannie ich unikał: jeżeli zaś czasem nasunęły się mu różne wątpliwości z zamętu pozytywnego, odpychał je z oburzeniem tonąc cały w rozmyślaniach o pięknej nieznajomej.

To zachowanie się tak niezwyczajne, milczące, zadumy, tajemniczość, nie uszły baczności Stanisława. Gdy wypytywania nic nie pomogły, i Jan stanowczo twierdził choć wahająco, że jakim był takim jest bez żadnej odmiany, Stanisław nie dał się wywieść w pole i myśląc, dochodząc, badając, przypuścił wreszcie że Jan się zakochał. Ale w kim i kiedy?

Stanisław zrobiwszy to przypuszczenie wpatrzył się w Jana badawczo: młodzieniec nie mogąc wytrzymać spojrzenia spuścił oczy i zarumienił się.

— Oj! mam cię chłopusiu! pomyślał Stanisław. Starego wróbla nie złapiesz na plewy. Teraz jestem

w domu, oliwa wypłynie na wierzch, tylko ostrożnie i rozważnie; bo gwałtowne lekarstwo może rozsadzić tęższy łeb jak mego braciszka.

Stanisław przeszedł się po pokoju, zapalił papieros i zatrzymawszy się przed Janem rzekł z powagą tonem pewnej wymówki:

— Mój Jasiu, widzę że straciłem zupełnie twoje zaufanie.....

— Co też mówisz?

— Tak jest mój drogi, masz jakieś tajemnice z któremi kryjesz się jak skąpiec ze złotem, nawet przede mną. Zdaje mi się że nie zasłużyłem na to........

— Ależ mój Stasiu... zaręczam cię.....

— Nie zaręczaj, bo wiem że się zakochałeś w sekrecie.....

Jan tak się zarumienił, że o mało nie zapłonął płomieniem. Stanisław udał że na to nie zważa i korzystając z pomieszania Jana które mu usta zupełnie zakneblowało, mówił dalej ze współczuciem:

— Miłość mój drogi a do tego zacna i poczciwa, wiem że lubi zamykać się we własnem sercu i unika krzykliwych objawów swojego uniesienia. Jest ona jak fijołek ukryty w trawie, który pod nóżką ukochanej ugina się ale milczy wznosząc nabożnie oczy ku buzi piękności. Kochać się każdy musi przynajmniej raz w życiu, dla czegóżbyś ty nie miał po raz trzeci otworzyć swego serca dla miłosnego raju i podsunąć krzesła wybranej aby się na niem rozsiadła? Kochaj się więc, ale nie wyrzekaj się przyjaciela..... bo to boli..... boli.....

Stanisław zakrył twarz chustką jakby dla łez otarcia i ton w mowie przybrał rozrzewniony: Jan przysunął się ku niemu i wyciągnął rękę.

— Mój Stasiu! zawołał poczciwy młodzieniec, nie rozumiejąc co to jest pozytywne rozrzewnienie.

— Tak, mój Jasiu, boli, przerwał Stanisław, boć sądzę że miłości swej nie masz się co wstydzić, że jest godną ciebie.....

— Oh! żebyś ją poznał, przerwał Jan z zapałem, gdybyś ją znał tak dobrze jak ja, tobyś sam powiedział, że podobnej drugiej nie znajdzie na świecie.

— Cóż to za jedna, ta piękność tak zachwycająca?

— Nie wiem.

— Jakto, nie wiesz? Jakże się nazywa?

— I tego nie wiem.

— Stanisław zrobił wielkie oczy.

— Poznałem ją, mówił dalej Jan, na ulicy i odtąd widuję ją po kilka razy dziennie.....

— I pewno nagadać się z nią nie możesz?

— Mój Stasiu, jeszcze do mnie i słowa nie przemówiła.....

— Więc niemowa?

— Nie wiem tego, raz tylko przy oddaniu jej zgubionej rękawiczki, spojrzała na mnie i tak uśmiechnęła, że odtąd...... już jej zapomnieć nie mogę....

Stanisław znowu zrobił wielkie oczy, miał ochotę roześmiać się ale się powstrzymał pojmując, że byłby to czyn bardzo niezręczny, odsuwający może na zawsze Jana od niego. Podniósł więc tylko ramion i odezwał się z największą powagą:

Podobnie postępując, mój Jasiu, do niczego nie dojdziesz. Pojmuję zupełnie miłość tak gwałtowną, bo serce to jak zapałka najlepiej buchająca płomieniem, potarta o obcasik zgrabnego bucika, ale płomień ten trwa niedługo jeżeli go nie zasycisz dobrem naręczem drzewa. Tu tem zbawczem naręczem, będzie bliższe poznanie tak uroczej przepióreczki. jej rodziców, całej przeszłości, stosunków.

— Tego tylko pragnę, mój Stasiu kochany. Wiem że jest biedna, bo ubrana zawsze choć starannie ale nader skromnie, że chodzi codziennie do jakiejś obowiązkowej pracy, że z ojcem bywa w każde święto w kościele i tam modli się tak przykładnie, tak zajęta nabożeństwem, że choć stojąc w ukryciu nie spuszczam jej z oka, nigdy jednak ze spojrzeniem nie spotkaliśmy się z sobą.....

— Wszystko to szczegóły wielce za nią przemawiające, odezwał się Stanisław zawsze z przybraną powagą. Ale to nie dosyć, powierzchowność często jest maską dyabła pod sobą kryjącą.....

— O! tu jestem pewny że ten wypadek nie zachodzi.

— A gdyby to była jaka panna szewcówna albo kowalczanka?

— To rzecz dla mnie zupełnie obojętna.

— Ale stryj coby na to powiedział?

— Jestem pewny że nie sprzeciwiłby się, byle dom cały był poczciwy......

— Oj! źle, pomyślał Stanisław.

— Możeby troszkę pomarudził, mówił dalej Jan, namyślał się, żądał zwłoki w ostatecznem postanowieniu ale poznawszy moją wytrwałość, zgodziłby się wreszcie.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego najpewniejszy.

— Oj! coraz gorzej, pomyślał znowu Stanisław, potem wina na mnieby spadła, a bogatego Krezusa nie myślę na siebie obrażać.

— Widzisz Stasiu, mówił dalej Jan, stryj mnie bardzo kocha i znając radby abym mógł się ożenić, ale powiada zawsze, że przy mojem usposobieniu współubiegania nie wytrzymam tam gdzie będzie ktoś drugi starający się o tę samą którą ja wybiorę. Że zaś sam jest starym kawalarem i żałuje mocno że się skazał na samotne życie, radby mnie więc ochronić od tego, jak powiada, nieszczęścia, i nieraz dał się słyszeć, że w wyborze mojej przyszłej żony nie będzie nigdy zważać na jej stan, tylko na poczciwość. Tu właśnie zachodzi ten wypadek, moja wybrana jest biedna ale co do jej zalet moralnych jestem zupełnie spokojny.

Stanisław przeszedł się po pokoju dumając nad położeniem rzeczy, które mu strasznego zabiło ćwieka. Chciał i on brata ożenić, bo wiedział że tym sposobem zyska wielkie względy bogatego krewniaka, ale po poprzedniem przygotowaniu w szyku i ułożeniu, w mowie i znalezieniu się towarzyskiem, nie z jakąś szwaczką czy panną z magazynu, ale z posażną córką jakiego większego przemysłowca, któryby połączenie to jeżeli nie rodem uszlachetnił to uzłocił posiadanem mieniem. Doprowadziwszy to do skutku, był pewny tak nakręcić potem wszystkie interesa, że stryj wypuściłby mu jedną z wiosek w dzierżawę, która pomału nadskokiem, pochlebstwem i różnemi sposobami w jakich wynajdywaniu był niewyczerpany, przylgnęłaby do niego testamentowym zapisem. Małżeństwo z jakąś biedą z naszytemi palcami, cały ten plan tak starannie ukartowany rujnowało bez naprawy. Nie mógł go więc dopuścić.

— Dobrze, mój Jasiu, odezwał się wreszcie po chwilowej rozwadze, że mi się z tem wszystkiem zwierzyłeś. Wspólnie działając interes obrobimy z zupełnem twem zadowoleniem...

— Oh! mój Stasiu, przerwał Jan z uczuciem największej radości, jakże jesteś poczciwy.

— Czyż mogłeś o tem wątpić? Pomimo gadanin tej zgrai półmędrków, znam dobrze co miłość prawdziwa i jakiem szczęściem obdarza ludzi......

— O! tak, przerwał Jan, sama myśl o tem już mnie uszczęśliwia, bo powiem ci otwarcie, że wszystko to com tu słyszał, co przeczytałem. o czem nabrałem różnych przedtem nieznanych mi wiadomości, owe nerwy, mózgi, jakieś prądy elektryczne, szyderstwa, lekceważenia, tak mnie całego roztrajkotały, tak jakoś rozstroiły, że jestem jak uduszony, prawie obłąkany. Zdaje mi się że stoję nad przepaścią, że mnie coś do niej ciągnie, popycha; czasami zdaje mi się że w nią już lecę, że się rozbijam, a wtenczas taki ból czuję w sercu, że nieraz chętka mnie ciągnie rzucić się z okna na bruk i rozbić głowę na miazgę.

— A to śliczna chętka, niechże cię gęś kopnie, zaśmiał się Stanisław. Będąc adoptowanym synem bogacza, mogąc ze świata brać uciechy pełną garścią....

— To dla mnie zupełnie obojętne, przerwał Jan z pognębieniem. Ani bogactwo, ani świat i jego uciechy nie nęcą mnie zupełnie.....

— Przesadzasz kochanku, przesadzasz, bo nęci cię śliczny buziaczek z nóżkami obutemi w zgrabne buciki, a do kogóż on należy jeżeli nie do świata? Oj! ty figlarzu, figlarzu!

— To prawda, z uśmiechem smętnym potwierdził Jan. Myśl o tej którą ukochałem, jedynie łagodzi to co mnie tak straszliwie wstrząsa. Kiedy wpatruję się w nią, zapominam o wszystkiem, zdaje mi się że się odradzam, innym staję człowiekiem i że wszystko na co spojrzę uśmiecha się do mnie samą radością i szczęściem.

— A gdyby niegodną okazała się twojej miłości, bo wszystko należy przypuścić?

— To niepodobna! — Cała jej postać jakby świętością otoczona, tchnie takim urokiem, taką dobrocią......

— Gdyby jednak wszystko to łudziło tylko pozorem? zapytał Stanisław. To wtenczas cobyś zrobił, hę?

— Jan zerwał się, przeszedł po pokoju z wielką niespokojnością, coś zaszemrał ustami jakby do siebie i wreszcie odrzekł:

— Cobym zrobił, nie wiem, ale zdaje mi się że najprędzejbym zwaryował.

— Hm! mruknął Stanisław, tembyś sobie interesu wcale nie poprawił.

— To prawda, ale i w tym razie doznać zawodu, jest to zawieść się na wszystkiem......

— A gdyby cię nie chciała, bo i ten wypadek zajść może?

— Tobym czekał, ażby ją wytrwałość moja zwyciężyła.

— A gdyby miała już np. narzeczonego?

— Stasiu! zawołał Jan z niezwykłą gwałtownością, nie przypuszczaj nic podobnego. Pewność zaślubienia jej, czuję że jest jedyną ochroną co mnie broni od przepaści; gdybym ją stracił..... strzeliłbym sobie w łeb......!

— Masz tobie! Dwie alternatywy wcale nie ciekawe. Ale tak źle nie będzie, bądź spokojnym Jasiu kochany. Pod moją opieką tak traicznych rozwiązań nie dopuszczę i doprowadzę do zaspokojenia twych szlachetnych uczuć, aby i wilk był syty i owca cała. Zdaj się na mnie zupełnie!

Pomimo pozornego spokoju z jakim Stanisław przyjął zwierzenia Jana, był jednak niemi wielce strwożony.

— Dyabeł nie śpi, myślał sobie, i gotów mi figla wypłatać niespodzianego. Ta jego miłosna gorączka przeleci jak przyszła nagle, tylko trzeba przyłożyć zimne kataplazmy żeby nie przeszła w tyfus. Będzie to troszkę trudno jeżeli kokotka z uczciwością zbratana, ale na wszystko znajdzie się sposób. Dla spragnionego ze spieczonym językiem na węgiel, woda przedstawia się jak nektar i za szklankę jej oddałby pół życia. On jest tym spragnionym gruchań miłosnych, jak się niemi nasyci i przesyci, to je sam kopnie i wyśmieje dziwiąc się że był takim głupcem. Cała ta sprawa niezmiernie drażli-

wa, ale przeprowadzę ją szczęśliwie. Stryj będzie kontent.....

Na drugi dzień było święto: Jan ubrany starannie zaprowadził Stanisława do kościoła w którym bywała jego ukochana. Stanisław pozostał w przedsionku, Jan wszedł do środka kościoła i kiedy po ukończeniu nabożeństwa tłoczył się razem z wychodzącym ludem, wskazał na młodą panienkę idącą przed nim. Stanisław przyjrzał się i uśmiechnął radośnie.

— A toć tę dziewczynę znam jak zły szeląg, odezwał się do Jana który nie spuszczał oka z nieznajomej. Chodź Jasiu, mówił dalej ujmując go pod rękę. Rzeczy wybornie się składają. Jest to Zosia siostrzenica handlarza ptakami, który szedł za nią ubrany w szamerowaną bekieszę i buty po kolana. Pracuje na Pradze u panien Mikłockich z których ze starszą Klarką Żyrafka ma się żenić.

— Ach! jak to szczęśliwie się stało, że ją znasz i to pewno z jak najlepszej strony.

— No, naturalnie że ją znam i przybliżę cię do niej abyś się z nią porozumiał. Do domu pana Prospera jej wuja nie mamy po co teraz wchodzić, najprzód trzeba się z panną porozumieć a potem uradzimy co dalej zrobić.

Jan nie posiadał się z radości, promyk nadziei urzeczywistnienia pragnień tak go na wskroś przejmujących, uszczęśliwił, uspokoił. Śmiał się, żartował a choć czasem zamyślił się, wracał jednak natychmiast do wesołego usposobienia, co nawet towarzyszy jego nie mało dziwiło. Stanisław tylko zastrzegł sobie, aby się do Zosi nie starał zbliżyć.

— Możesz ją sobie wypatrywać, rzekł, po całych dniach nietylko swemi oczami ale i najętemi, lubować się nią, zachwycać, ale zawsze zdaleka aby przepióreczka nie skryła się w proso. Jak poruszone przeze mnie sprężyny zrobią swoje, sam ci o tem powiem a wtenczas krzyknę: ognia, pal! i Zosia będzie twoją.

Jan prawie oniemiał z radości, i wpadł w prawdziwy szał rozweselenia. Maciusia prosił o krakowiaka na gitarze, przyśpiewywał mu, podreptywał, Mieczysława zaczepiał zapytaniami czy nerwami można czuć zadowolenie wewnętrzne, a prądami elektrycznemi marzyć i mieć nadzieję. W całem tem postępowaniu, jakkolwiek na pozór zupełnie naturalnem, dla uważniejszego badacza było coś jakby gorączkowego. W oczach Jana świecił blask dziwnej mocy nie porywający ale straszący: na ustach i twarzy igrał uśmiech ale jakby wymuszony, szyderczy, niepłynący prosto z serca. Na drugi dzień Jan cokolwiek uspokoił się, później więcej był poważnym i zadumanym, wreszcie gdy tydzień przeszedł a Stanisław kazał ciągle czekać i być cierpliwym ręcząc za powodzenie, stał się smutnym i milczącym tak że z niego trudno było słowo wydobyć.

W tym to czasie Bolesław przypadkiem spotkał się z Zosią na wale pragskim po nad Wisłą. Powracając z nią do domu w towarzystwie pana Anzelma i Bonawentury, ułożył się że Zosia przygotuje wuja do przyjęcia go w domu, i że przedstawienia swego dopełni w nadchodzącą niedzielę. Było to zadanie trudne do spełnienia. Prosper był źle uprzedzony względem młodzieńca, który tak wielu zmartwień stał się powodem dla ukochanej jego siostrzenicy.

Znając dobrze cały przebieg sprawy ich rozłączenia a mając nadzieję że czas wybije jej z głowy miłość nie mogącą się nigdy zakończyć małżeństwem, martwił się jej ciągłym smutkiem i złorzeczył okolicznościom, które stały się jego powodem. Każde też ożywienie Zosi, uśmiech jej, choć chwilowe rozweselenie, śledził z największą troskliwością i cieszył się jako objawami zapowiadającemi zupełne dziewczęcia uspokojenie. Zosia domyślała się tego, mając go też zawiadomić o spotkaniu się z Bolesławem, o jego chęci wejścia do domu w charakterze już narzeczonego, była niezmiernie zakłopotaną, roztargnioną, co także nie uszło uwagi troskliwego jej opiekuna.

Minął jeden dzień, potem drugi, Zosia nie miała odwagi rozpocząć rozmowy o tem co jej tak ciężyło na sercu. Prosper tylko spostrzegł że szczególniej była zajęta przygotowaniem świeżej sukienki i innemi przybraniami skromnej swej gotowalni. Pokręcał na to głową ale nic nie mówił, gdy jednak nadeszła sobota i Zosia oświadczywszy, iż dla uporządkowania mieszkania pozostanie w domu na dzień cały i potem zaczęła szperać po wszystkich kątach, wymiatać, okurzać, ocierać, ład zaprowadzać pomiędzy różnemi gratami, a nawet zabrała się do oczyszczania szyb w oknie dość zamazanych. Prosper znowu zaczął pokręcać głową, częściej niż zwykle sięgać do tabakierki ale jeszcze ani jednem słowem nie objawił swego zadziwienia. Gdy jednak Zosia cokolwiek załatwiwszy się ze swą czynnością zabrała się do prasowania sukienki i trzymając ją w ręku i oglądając na wszystkie strony, zaczęła nucić jakby piosenkę, co się jej pierwszy raz zdarzyło, Prosper nietylko już pokręcił głową ale zrobił wielkie oczy i uderzając w tabakierkę rzekł:

— Coś moja panienka, Bogu dzięki, jakaś dziś bardzo rozweselona. Czy się na bal wybierasz, czy też gotujesz do przyjęcia jakich niespodziewanych gości?

Zosia straszliwie się zarumieniła, serce młotkiem zakołatało, usta poruszyły się ale spojrzenie zostało do ziemi przybite. Prosper, jak wiemy nie należał do wielomównych, zobaczywszy tak wielkie pomieszanie przestraszył się cokolwiek, bo zupełnie nie wiedział jak je tłómaczyć. Wprawdzie jednak przemknęła mu się uwaga, że gdyby w tem wszystkiem było coś złego, toby Zosia nie śpiewała; wpatrzył się więc w nią ze współczuciem i ujrzawszy że dziewczątko ciągle ze spuszczonemi oczami zabawia się zwijaniem rogu fartuszka, uśmiechnął się przyjaźnie i tuląc jej główkę do ust i piersi rzekł:

— Moja Zosieczko kochana, moja pociecho najdroższa, czyż nie znasz mego serca dla siebie? Powiedz otwarcie co tam siedzi w twojej główce, co tak płomieni ci buzię i usta zamyka? Przede mną nie należy mieć sekretów, gdybyś je miała byłaby to wielka dla mnie boleść.....

Zosia z płaczem rzuciła się w objęcia starca.

— Zosiu, przestraszasz mnie, twój płacz.....

— To ze szczęścia, mój wuju najdroższy.....

— Ze szczęścia? I cóż to takiego?

— Mój wujciu, odezwała się Zosia, oczami załzawionemi wpatrując się w Prospera, tak, płaczę ze szczęścia, bo pan Władysław jest w Warszawie i jutro.....

— Co? pan Władysław? przerwał Prosper z przerażeniem odsuwając dzieweczkę lekko od siebie. I ty się cieszysz?

— Spotkałam się z nim we środę przypadkiem na Pradze idąc do panien Mikłockich.....

— I to cię tak uszczęśliwiło? Czyś zapomniała.....

— Nie, mój wuju, nicnie zapomniałam, pan Władysław pragnie przyjść do nas, aby prosić cię żeby.....

— A on tu po co?

— Żebyś mu pozwolił bywać.....

— Bywać u mnie? zawołał Prosper z pognębieniem załamując ręce. Otóż nowe nieszczęście, Boże, mój Boże!

— Mój wuju, pan Władysław chce u nas bywać za twojem pozwoleniem, abyś go bliżej poznał i przekonał się jak jest dobrym i poczciwym.....

— Być może że jest takim, ale ja nie potrzebuję o tem się przekonywać, co mi potem? Przecież ożenić się z tobą nie myśli...

— Powiedział, odezwała się Zosia na nowo okrywając się rumieńcem, że to jest jedynem jego pragnieniem.

— Być może że to jest jedynem jego pragnieniem, ale to stać się nie może.

— A to dla czego?

— Bo ojciec jego i rodzina na to nigdy nie pozwolą. On pan z panów, śmiałby się połączyć z chudopachołkami...

— To też od tak dumnej rodziny odłączył się zupełnie...

— Jakto, poróżnił się? zapytał się gwałtownie Prosper.

— Tak, mój wuju, i to stanowczo, powiedział nawet...

— Więc i z ojcem nawet?

— Tak, mój wuju...

— A to mi syn dopiero! zawołał Prosper ze zgrozą i wielkiem oburzeniem. Syn zły to zły człowiek a taki nie może być dobrym mężem. Dziewczyno proś Boga żeby cię łaską swoją oświecił, żeby ci wskazał przepaść do której sama pędzisz z tak wielką nierozwagą.

— Mój wuju, modliłam się, z płaczem, z tak serdecznem przejęciem, że pewna jestem, iż Bóg pełen miłości przyjął dobrotliwie prośbę biednej dziewczyny....

— No i cóż?

— I uwierzyłam, że pan Władysław jest tym którego mi Bóg przeznaczył.

Prosper przeszedł się po ubogiej swej izbinie, zatrzymał się przy oknie, ale choć jeden z ptaków zatrzepotał do niego skrzydłami, nie zwrócił na to uwagi: otworzył tabakierkę, sięgnął do niej, ale ręka z palcem ułożonem do wzięcia szczypty zawisła nieruchomie w powietrzu.

— Więc powiadasz, że jutro chce przyjść do nas? zapytał po chwili.

— Tak mój wuju, zaraz po nabożeństwie.

Prosper znowu przeszedł się po izbinie, podumał, pobębnił po tabakierce, wziął wreszcie czapkę i podpierając się laską wyszedł na ulicę.

Zosia z płaczem uklękła przed obrazem Matki Zbawiciela i zatopiła się w słodkiej modlitwie.

(d. c. n.)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Nazajutrz była niedziela. Spotkałem wczorajsze damy z loż pierwszo-piętrowych na Piazza, gdzie o jedenastej grywa muzyka wojskowa. Wysiadały z powozów w obec różnobarwnych tłumów przypatrującym się ciekawie ich długim trenom, któremi zamiatały flizy, niby paw ogonem. Niektóre miały na sobie kaftany wyszywane złotym sutaszem i oszyte piórami nurów, a na głowie toczki z agrafkami,

niby huzarskie kaszkieciki; inne ubrały się w kapelusiki z odwiniętem rondkiem, przyozdobione białem strusiem piórem lub wypchanym kolibrem. Żydówki, figurami przypominające raczej wieżę Babel niż cedry Libanu, przechadzały się z nadętą miną; na ich wielkich piersiach jaśniały wszystkie u mężów ich zastawione klejnoty. W tym natłoku sukien zielonych, niebieskich, granatowych, malwowych, żółtych i innych, powabne *sartorelle* te czarnookie gryzetki, i wesołe manole Adryatyku. z maleńkiemi nóżkami, szły parami na paluszkach prowadząc się pod ręce, upudrowane jak księżniczki z opery komicznej; jak tylko muzyka przestawała grać, słychać było wesoły ich szczebiot, niby świergot ptaków.

Chcąc dobrze pochwycić charakter i obyczaje Triestu, trzeba go zwiedzać w niedzielę; lecz tylko ołówkiem Grevin'a lub Dore'go możnaby oddać ruch, wesołość i ożywienie tych grup wchodzących i opuszczających Corso, przechadzających się w porcie, cisnących przed kawiarniami. Wszyscy w świąteczne przybrani szaty, obuwie błyszczy jak lustro; fijołki i kamelje kwitną we włosach i w dziurkach od guzików. Wszystkie sklepy pozamykane; młode dziewczęta ładne i świeże wychodzą z kościołów z książkami od nabożeństwa, a w rogach ulic przekupnie świec woskowych, uderzając w takt w drewniane stoły, krzyczą głośno! „*Madonna! Madonna*! nie zapominajcie o Madonnie.“ I kobiety przybiegają. kupują świecę którą zapalają zanim przestąpią próg kościoła, który tym sposobem wygląda jak grobowa kaplica. Po skończonej mszy, zakrystyan wychodzi z tacą zbierając niedopalone kawałki świec.

O czwartej cały Triest zgromadza się na tamie San-Carlo. W tej uprzywilejowanej od nieba krainie, życie domowe jest prawie nieznane; mieszkania są w ogóle niewygodne i opatrzone zaledwie w niezbędne sprzęty. Co po sofach i kobiercach, kiedy po ogrodach są takie prześliczne kwiatowe dywany i takie wygodne ławki? Po co dobrze się zamykające drzwi i okna, kiedy słońce ciska pełnemi dłońmi swe ciepłe złote promienie?...

III.

Miramar leży o milę od Triestu. Prześliczna jest wiodąca do niego droga; ciągnie się wybrzeżem morskiem które kręci się, wije, wspina jakby oszyte delikatną koronką z piany morskiej. Gdy morze to nie złości się jak czarownica, ma powab młodej dziewczyny. Fale jego są błękitnawe i przejrzyste, oddech orzeźwiający, odgłos rzewny jak westchnienie. Po nad nami w przestrzeni unosiły się stada mew, a w oddali przesuwały się jakby cienie rozbitych okrętów, niewyraźne kształty wielkich statków. Kilka łodzi z czerwonemi żaglami naruszały harmonię tego obrazu o srebrzystych i mglistych barwach.

Od strony wybrzeża wznosi się wiele bardzo prześlicznych białych willi otoczonych drzewami. Z pomiędzy liści przeglądają marmurowe perony, piękne fasady zdobne balkonami, z których zwieszają się różnorodne pnącze tworzące jakby przezroczystą kwiecistą drabinę dla pszczół i motyli.

Przy końcu drogi, na malowniczem wzgórzu, stoi pałac Miramar; ząbkowate jego wieżyce i ciężka architektura zdają się imponować morzu. Ciekawe są i warte opisu dzieje tego pałacu; otrzymałem je od przyjaciela lat dziecinnych, cesarza Maksymiliana.

W roku 1856 młody arcyksiążę był komendantem marynarki austryackiej, która jemu zawdzięcza późniejsze zwycięztwa. Ani pomyślał wtedy o Miramar i nie spodziewał się że będzie gubernatorem prowincyj Lombardzkich. Zwiedził już wówczas Grecyę, Azyę Mniejszą, Hiszpanię, Portugalię, Sycylię, Wschód i Ziemię Świętą. Ukochał morze miłością marynarza i dla tego obrał rezydencyę w Trieście. Nieraz podczas burzy wsiadał do łodzi i puszczał na morze, jakby naigrawając się z niebezpieczeństwa. Raz podczas gwałtownego bora, wicher ten uniósł statek księcia jakby piórko i uniósł aż po za przylądek Grignano. Tam morze było spokojne jak jezioro. Wysiadłszy na ląd, książę znalazł tak piękny widok i tak odpowiednie położenie, iż postanowił zbudować tam mały domek rybacki. Kupił ten grunt i zaczął najpierw probować sadzić na nim rośliny egzotyczne, licząc na płodność ziemi wystawionej na działanie południowego słońca.

W następnym roku Maksymilian poślubił córkę króla Belgów i złota rószczka jaką przyniosła mu ta księżniczka, zamieniła chatkę rybacką w pałac prawdziwie królewski.

W owej epoce Maksymilian zajmował się bardzo architekturą; on to powziął myśl wybudowania owego kościoła wzniesionego na pamiątkę ocalenia cesarza Franciszka, który jest prawdziwie drogocennym klejnotem Wiednia, i własną też ręką nakreślił plan Miramaru. Pracowano nad nim pilnie, ale w r. 1858, gdy książę miał opuścić Lombardyę. stał dopiero wiejski na szczycie wzgórza; książę zamieszkał w nim z żoną i tak mu się tam podobało, że nawet po ukończeniu pałacu nie chciał go opuścić. Jest to wielki szalet osłoniony kaprifolium i zwojami bluszczu, a wznosi się wśród gajów z kamelij i oleandrów. Jakże to błogo płynąć musiało życie w tem rozkosznem jakby tajemniczem ustroniu, w tem gniazdeczku kwiatów i zieleni, pod rozkosznym błękitem pięknego nieba! Tam wszystko opiewało miłość: słowik uścielający gniazdeczko pod dachem domku, kwiaty rozwijające się pod uśmiechem jutrzenki, morze drgające pod spojrzeniem gwiazd, łagodny wietrzyk szemrzący wśród liści, który każe wnosić podczas pięknych nocy że i drzewa mają swoją mowę, że gałęzie ich obejmują się w czułych uściskach i zespalają tajemniczemi pocałunkami. Wszystko co tylko może dać szczęście znajdowało się w tej samotni, w której Maksymilian urzeczywistnił tegoczesne marzenie: chatka, serce i bogactwo. Hojność i wspaniałomyślność księcia, ostatni ten żywioł czyniła dla niego niezbędnym do szczęścia, gdyż lubił otaczać się artystami, literatami i uczonymi; przyjmował ich z wielkiemi względami i nie zapominał że w porę ofiarowane podarki podtrzymują przyjaźń. Ach! gdyby te aleje i te drzewa mogły mówić i powtórzyć co słyszały, wtedy zajrzelibyśmy do głębi tej szlachetnej duszy i poznalibyśmy jak wielkie i wzniosłe żywiła zamiary i ideje.

Maksymilian był człowiekiem wielkiego serca; pamięć jego szanowana jest po dziś dzień w prowincyach lombardzkich które administrował po ojcowsku, a w owym Meksyku w którym został zamordowany, Indyanie z okolic Queratero nie wybudują najmniejszej chatki, jeźli nie zdobędą pierwej jako talizman, kamyka jakiego ze wzgórza na którem został rozstrzelany. Gdy trumnę ze zwłokami cesarza Maksymiliana przywieziono do Triestu, całe miasto zawrzało oburzeniem i smutkiem: zamknięto magazyny, zawieszono wszelkie prace; mężczyźni przywdzieli żałobę, kobiety płakały.

Pomyślawszy, jak szczęśliwie życie upływać mu tu mogło, wspomniawszy na spędzone tu chwile tak spokojnie i błogo i pamiętając że jego nie ma już na świecie a ona jest żywo-umarła, z niewysłowionym smutkiem przekracza się próg tej rezydencyi. Przechodząc po alejach tych zachwycających ogrodów, stają nam na myśli sceny szczęścia i miłości; zdaje nam się że w tych gajach oblanych zielonawem światłem, widzimy kryjącą się parę kochanków, tkliwym obejmującą się uściskiem. Jest to raj utracony, w którym także Ewa pierwsza dopuściła się grzechu: wąż pychy zwrócił się najpierw do kobiety, ta wzięła podawane jabłko, ugryzła i podała mężowi. Młoda główka arcyksiężnej marzyła, pragnęła korony i sławy; w strasznym dramacie meksykańskim, przyszli jego historycy szukać będą kobiety.

Wejdźmy do pałacu: wejście dozwolone wszystkim; nikt tu nie pyta o nazwiska ani tytuły, przychodzi się jakby pielgrzymką do świętego miejsca.

Dwanaście halabard stojących w przedsionku, wskazuje że to mieszkanie książęcia krwi; wcale nie wojowniczy pozór tych broni dla parady, łagodzi jeszcze sąsiedztwo czary marmurowej, z której piją dwa prześliczne gołąbki, z rozwiniętemi, prawie drgającemi skrzydłami. Okno w głębi wychodzi na zatokę triestańską.

Z przedsionka wchodzi się do gabinetu i do sypialnego pokoju, będących wiernem odtworzeniem dwóch kajut zajmowanych przez Maksymiliana na fregacie *Nowara* którą odbył podróż na około świata. Na biórku, w gabinecie, stoi miniatura cesarzowej Karoliny. Biblioteka zawiera bogaty zbiór książek we wszystkich językach, naukowych, historycznych i podróży; w ośmnastym roku życia, Maksymilian mówił po francuzku, po angielsku, po włosku, po hiszpańsku, po węgiersku, po słowiańsku, po grecku i po łacinie. Salę biblioteki, w poważnym i wykwintnym zarazem stylu, zdobią posągi Dante'go, Goethe'go, Shakespeare'a, Homer'a; w tym to gabinecie z widokiem na morze, którego tak uwielbiał wspaniałą niezmierzoność, Maksymilian napisał cztery tomy swoich pamiętników, Szkice z podróży, Aforizma i poezye. Trudno wystawić sobie miejsca lepiej nadającego się do marzeń i pracy, rozmyślania i zapomnienia; to też przychodziło szczęśliwe natchnienie, i Niemcy jednogłośnie przyznały arcyksięciu koronę poetów-króli nie tak ciężką a nadewszystko nie tak kruchą jak króli-poetów.

Maksymilian posiadał rzadki talent opisowy, wyborny dar postrzegawczy i styl wytworny. Oto jaką np. daje radę podróżującym z fantazyi, jak sam podróżował: „Wy podróżujący, chcecież wydać sąd o mieście zanim do niego przybędziecie, uważajcie czy wznoszą się po nad niem wysokie czarne dzwonnice, błyszczące kopuły — wtedy wejdźcie a znajdziecie piękne pomniki i wielkie wspomnienia. Lecz jeżeli nie dojrzycie wysokich gmachów, omijajcie takie miasto, bo znajdziecie w niem tylko jednostajne domy i jednostajne ulice; nie wchodźcie tam chyba że dla was cukier i bawełna więcej znaczą niż wszystko. Jeźli z daleka dostrzeżecie kolosalne kominy, uciekajcie jak najdalej, bo miasta fabryczne są najnudniejsze ze wszystkich, zabijają umysł i serce i zamieniają ludzi w maszyny.“

Uwielbiał Włochy; Neapol uważał „za spadły z nieba na ziemię kawałek raju.“ i opisał to miasto jakby piórem serafina, maczanem w złocie gwiazd.

W salonie wiszą portrety cesarza i cesarzowej austryackiej, a w pokoju sypialnym Napoleona III i cesarzowej Eugenii. Kaplica pałacowa zbudowana jest na wzór świętej kaplicy w Jerozolimie.

Na pierwszem piętrze mieści się zbiór dawnych obrazów i portretów. W pokoju zwanym „cesarskim“ wisi portret papieża Piusa IX naprzeciw portretu królowej Izabelli. Jest tu także obraz Rafaela i biórko z różanego drzewa Maryi-Antoniny. Sala tak zwana „konwersacyjna“ ozdobiona jest

obrazami przedstawiającemi dzieje Miramar'u: przybycie Rzymian; przyjęcie Leopolda I w Trieście; deputacya meksykańska przedstawiająca się Maksymilianowi i odpłynięcie jego do Meksyku. Zarówno jak w cesarskim pałacu w Wiedniu i w pałacu Miramar znajduje się sala tronowa.

Schody w guście gotycko-niemieckim są rzeźbione, ozdobione posągami heroldów trzymających kandelabry. Ściany pokryte są trofeami indyjskiemi, przywiezionemi z Archipelagu.

Maksymilian uwielbiał przyrodę tak idealno-namiętnie jak J. J. Rousseau; lubił i cenił barwy roślin, różnorodność ich kształtów, ich woń i piękność, uprawiał jak artysta, opisywał jak poeta. Jakież niezliczone mnóstwo kwiatów rozrzucił po Miramar, zamieniając w rozkoszną oazę jałową i palącą skałę, i aklimatyzując tu delikatne i promieniejące rośliny Wschodu. Z wysokości tarasu oko obejmuje całą świetną gammę tamarindów, baobabów, kokosów, kaktusów i fig. Tu i owdzie wznoszą się wysmukłe palmy przypominające Pawła i Wirginię, które Maksymilian obrazowym swoim językiem nazywał „wieszczkami zrodzonemi z marzeń jakichś bożków" a piękne zagięcia ich liści „do tańca Gracyj;" są tu kwatery odznaczające się takiem bogactwem tonów iż wydają się jakby osypane drogiemi klejnotami; gaje z widokiem na morze podobne są do grot jakichś bogiń; baseny zdobne gwiaździstemi lotusami, błyszczą na murawach jak ogromne zwierciadła, a białe marmurowe bóstwa odbijają dosadnie od ciemnej zieloności, grzejąc zimne swe kształty pod promieniami słońca.

Maksymilian tak lubił Miramar że zamienił go jakby w zaczarowaną siedzibę książęcia z *Tysiąca i jednej nocy*. Pomyślałem sobie iż skoro tam, w lepszym świecie, czeka nagroda tych co tu cierpieli niesprawiedliwie, to chyba wolno jest nieszczęśliwemu arcyksięciu schodzić niekiedy do tego zachwycającego, przez niego stworzonego ustronia i szukać po jego alejach śladów nieszczęśliwej Ofelii.

Jedyne swobodniejsze chwile jakie spędził w Meksyku, były te które poświęcił ulubionemu Miramar; zarządzał dawną rezydencyą jakby zawsze miał zamiar powrócić do niej. Przez każdego przybywającego kuryera dawał rozkazy co i jak robić lub odmienić mają; gdzie posadzić kwiaty, jak urządzać pokoje. Miramar był dla niego laską pastuszą i kapeluszem pastucha co został królem; przypominał mu minione szczęście, osładzał trudy i przykrości i obecne i uśmiechem złocił myśl o przyszłości.

Dnia 10 kwietnia 1864 roku deputacya meksykańska przybyła do Miramar, ofiarując Maksymilianowi koronę Meksykańską.

„Przybywamy mówił don Gutierrez de Estada prosić cię, panie, abyś raczył zasiąść na tronie Meksykańskim, na który powołuje cię życzenie narodu od tak dawna szarpanego wojną. Posiadasz książę dar pozyskiwania sobie serc i trudną sztukę rządzenia."

Maksymilian odpowiedział że spełni życzenia ludności meksykańskich, i że rząd jego będzie liberalny i konstytucyjny. „Dowiodę, dodał, że wolność może godzić się z porządkiem: będę szanował wolność i nakażę szanować porządek."

Don Gutierrez podziękował arcyksięciu w imieniu narodu meksykańskiego, poczem nowy cesarz przysiągł na Ewengelii że pracować będzie nad szczęściem i pomyślnością swego ludu i bronić niepodległości narodowej.

Petem don Gutierrez w imieniu Meksyku, wykonał przysięgę na wierność cesarzowi; Maksymilian uściskał go i przypiął mu do piersi order Gwadelupy który postanowił.

W trzy dni później, para cesarska opuściła Austryę. Od samego świtu wielki ruch panował w porcie triestańskim i na drodze do Miramar; ze wszystkich stron państwa przybywano pożegnać najwięcej lubionego ze wszystkich arcyksiążąt austryackich.

Nowara i francuzka fregata *Thémis* stały w porcie, a po za niemi kołysało się na kotwicach sześć statków Llyod'a austryackiego, zapełnionych widzami.

(d. c. n)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Wiedeń.

Licytacya na wierzytelności Banku jeneralnego wiedeńskiego. Skandaliczne nadużycia w Radzie municypalnej wiedeńskiej. Stronnictwo patryotyczne w Wiedniu i jego działalność. Bohater Janos, poemat Petöfy'ego, przełożony z węgierskiego na niemieckie przez Ignacego Schwitzer. Szkielet w domu, powieść Fryderyka Spielhagen. Przedstawienia sceniczne dla samego króla bawarskiego. Przez ucho, dramat W. Jordana. Następstwa błędu, dramat w 3 aktach. Opiekuńczy duch kobiety, Adolfa Glaser. Historya oftalmologii, p. doktora Hugona Magnus. Szkice historyi austryackiej, p. Adama Wolf. Sahara albo z oazy do oazy, p. de Chavannes. Kongres geograficzny w Berlinie. Ostatni obraz Makarta „Wjazd Karola V do Antwerpii." Robert Mayer.

(Dalszy ciąg).

Jedną z ostatnich nowości dramatycznych przedstawionych w Wiedniu, jest *Jedyne dziecko* Rudolfa Kneibel. Pomimo licznych usterków, publiczność gorąco przyjęła sztukę na pierwszem przedstawieniu, ale mimo to prasa nie wierzy w trwałość powodzenia. Zarzucają autorowi słabość akcyi i trywialność dyalogu. Treść sztuki stanowi próżność bogatego bankiera pragnącego uchodzić za literata i autora sztuki napisanej przez zakochanego w jego córce. Obok głównego bohatera kręci się kilka nader śmiesznych postaci, co niezawodnie bardzo się przyczyniło do powodzenia sztuki.

W Monachium odbywają się znów regularnie przedstawienia urządzane dla *samego* króla bawarskiego. Gdy bije godzina siódma, meloman noszący bawarską koronę wchodzi do loży czarno ubrany; nikt a nikt mu nie towarzyszy, wspaniale oświecona sala jest zupełnie pusta. Z końcem każdego aktu, gdy kurtyna zapadnie, jedyny widz opuszcza lożę, i dopiero gdy powraca, zasłona znów się podnosi. Faworytalną jego śpiewaczką jest panna Schefsky; gdy król jest w Monachium, często wzywa ją do pałacu. Milczący służący pałacowy, idąc na końcach palców, wprowadza ją do pokoju w którym prócz niej nie ma nikogo, gdzie ma śpiewać nie wiedząc czy i gdzie kto ją ma słuchać. Król niewidzialny i milczący, siedzi ukryty za portierą, zasłaniającą drzwi prowadzące do przyległego pokoju. Słucha jej śpiewu ale się nie pokazuje. Naprzód ma zapowiedziane co ma śpiewać, najczęściej jaki ustęp z Wagnera lub też melodyi Loem'a albo Schubert'a. Raz jeden tylko, król więcej niż zwykle zadowolniony jej śpiewem, wyszedł z ukrycia i winszował jej talentu. Trudno nie uznać że to już nie oryginalność ale manija.

Niedawno przedstawiono w Monachium popularny dramat Kobell'a, *Piękna Censi z Mittelwald*. Rzecz dzieje się w roku 1809. Sama treść dramatu nie odznacza się nowością pomysłu, ale cechuje ją w wielu epizodach właściwa Kobell'owi naturalność i wesołość, którym zawdzięcza swą popularność. Widz nie może się oprzeć miłemu wzruszeniu. Cała sztuka napisana jest dyalektem bawarskim. Podczas przedstawienia kilkakrotnie przywołano autora. Znany w całej Europie jako sławny mineralog, ozdobiony kilku orderami za swe prace naukowe, pan Kobell jest dziś przeszło siedmdziesiąt-letnim starcem: obok sławy naukowej potrafił jeszcze pozyskać i literacką, której nie jeden pisarz mógłby mu pozazdrościć.

Drugą nowością przedstawioną na scenie bawarskiej jest dramat trzy-aktowy, p. n. *Przez ucho*, napisany wprawnem piórem p. Wilhelma Jordan. Dramat nie tyle celuje intrygą, jak nadzwyczaj zręcznem, dowcipnem, figlarnem a niekiedy poetycznem dyalogowaniem.

W teatrze Rezydencyi, a więc zawsze w Monachium, które to miasto w tym roku większą jak na którejkolwiek scenie niemieckiej liczbą nowości pochlubić się może, przedstawiono dramat w trzech aktach: *Następstwa błędu*.

Oto treść dramatu.

Dla łatwych do zrozumienia powodów, pani Mehrn utaiła przed córkami swemi, Fridą i Heleną, że nie jest wdową jak wszyscy mniemają, ale że była kochanką pewnego księcia, któremu śmierć przeszkodziła ją zaślubić.

Wszyscy mogą pozostawać w błędzie, ale niepodobna ukrywać przed znakomitym hrabią Millaux, że ta którą kocha, piękna Frida, jest nieprawego urodzenia. Dowiedziawszy się o tem, hrabia odstępuje narzeczonej, gdyż według układów rodzinnych, gdyby się ożenił z kobietą nieszlacheckiego rodu, dobra jego przeszłyby na linię boczną. Stary przyjaciel pani de Mehrn, zawiadomił ją o tem postanowieniu zerwania i skłaniających do niego powodach. Nadeszła chwila stanowcza, w której matka musi błąd swój wyznać przed córkami. Przywiązanie Heleny do matki jest tak silne, iż wyznanie to nie mogło go zachwiać; Frida zaś nietylko wyrzuca matce że jest przyczyną zerwania jej małżeństwa i utraty szczęścia całego życia, ale zarazem oznajmia iż chce wstąpić do klasztoru. Lecz nim jeszcze mogła zamiar ten doprowadzić do skutku, narzeczony powraca mówiąc że nie może się oprzeć swej miłości, silniejszej nad wszystko. Przekłada jej zarazem że nie przez chciwość zerwał zamierzony z nią związek, ale dla tego iż zarząd tak znacznym spadkowym majątkiem, rozleglejsze daleko działalności jego otwiera pole, której zrzec się nie może aby zostać niczem więcej jak tylko mężem swojej żony. Lecz gdy już los tak zrządził że nie może wprowadzić jej do pałacu de Millaux jako swoją żonę, czemuż nie miałaby zamieszkać w nim w takim charakterze jak matka jej u księcia jej ojca, i namiętnemi słowami maluje jej rozkosze i szczęście jakiegoby kosztowali w tem uroczem ustroniu, żyjąc tylko dla siebie. Frida zdołała oprzeć się zgubnym namowom ukochanego, ale słowa jego nader silne na jej serce wywarły wrażenie, i była chwila iż tak bliską była upadku, iż zrozumiała teraz słabość matki i oburzenie jej przeciw niej jak mgła się rozwiało. Rzuca się w objęcia matki błagając o przebaczenie swych słów nierozważnych, a jednocześnie hrabia przekonawszy się że bez Fridy życie byłoby mu tylko ciężarem, raz jeszcze wraca do niej, lecz teraz już

z oznajmieniem że zrzeka się majoratu i wszelkich przysługujących mu przywilei aby mógł zostać jej mężem.

W dramacie tym mieszczą się sceny i sytuacye zupełnie oryginalne, styl jędrny i wzniosły, zajęcie utrzymane do końca. Publiczność też nie szczędziła oklasków.

Dawno znany autor i malarz p. Edward Ille, napisał nadzwyczaj wesołą komedyjkę, która podczas przedstawienia pobudzała widzów do szalonego śmiechu. P. Ille jest jednym z najwięcej lubionych współpracowników illustrowanego komicznego pisma *Fliegender Blätter* (Latające kartki), pierwsza próbka jego dramatyczna od razu zyskała uznanie, powinienby zatem dalej pracować na tej drodze.

Pan Adolf Glaser, stały i bardzo ceniony współpracownik *Illustrowanego dziennika Westermanna*, wydał świeżo romans p. t. *Opiekuńczy duch kobiety*. Dotąd pisywał on tylko nowelle naśladowane z hollenderskiego; pierwszy raz wystąpił z utworem oryginalnym, odznaczającym się bardzo dobrze obmyślanemi sytuacyami i doskonałem wykończeniem charakterów. Główna intryga romansu osnuta jest na tem, że młodą i ukształconą żydówkę pragną koniecznie nawrócić na religię chrześciańską. Duszą tych podstępnych knowań jest zabójca jej ojca, który, jak się wykazuje w końcu, jest największym łotrem, osłaniającym się płaszczykiem gorliwości religijnej.

Autor wprowadza nas w świat spirytystów i wizionerów. Wiadomo że Kant i Lessing badali gruntownie kwestyę pokazywania się duchów. Pierwszy dowodzi że ten, kto widzi podobne zjawisko, nie ma dokładnego pojęcia wyraźnej zewnętrznej jego postaci, zmysły jego oddziaływają na wyobraźnię, a wyobraźnia znowuż na zmysły, tak że wytworzona postać odbija się na zewnątrz, czyli krócej mówiąc że cała wizya jest wytworem wyobraźni. Przeciwnie zaś Weisse, Fichte, Lotz, tłómaczą podobne nadprzyrodzone objawy oddziaływaniem nerwów na mózg. Pan Glaser wprowadza nas w taki świat dziwów i wykazuje jak spirytyści z rzemiosła wyzyskują na wielką skalę słabe mózgi i rozbujałe wyobraźnie. Pod względem historycznym, p. Glaser nie popadł w błąd anty-artystyczny, aby przedstawiając osoby znane całemu światu, przyczepiać do nich najśmieszniejsze historyjki miłosne. Pojmuje on romans historyczny na sposób Walter Scott'a, który układa sobie bajkę i wprowadza do niej osoby przejęte pojęciami swego czasu i odpowiednio działające. Ilekroć sławny romansopisarz szkocki wprowadzał na scenę jakąś znakomitą osobistość, starał się odtwarzać ją najdokładniej i zgodnie z tem jak nam ją przedstawia historya. Takiejże zasady trzyma się p. Glaser. Królowa Hortensya w Hollandyi, Ludwik-Filip i malarz Ary Scheffer, są przedstawieni zgodnie z rzeczywistością. Ostatnia szczególniej osobistość jest nader starannie skreślona. Autor zapoznaje nas z rodzicami Scheffer'a, opisuje pobyt jego i wychowanie na pensyi w Lille, jego przyłączenie się do stowarzyszenia carbonarich, jego ożenienie i różne charakterystyczne szczegóły, zapożyczone z biografii sławnego malarza. Zdaje nam się tylko że owa gwałtowna miłość Scheffera dla pewnej hrabiny spotkanej w zamku Lafayette i jej śmierć przedwczesna, są poprostu wymysłem. Lepiejby jednak był zrobił autor, gdyby wprowadzonego przez siebie do romansu bankiera, nazwał jak bądź inaczej a nie Rothschild'em, który jako bardzo realistyczny i bardzo tegoczesny, nie nadaje się zupełnie do wymyślonego przez romansopisarza typu.

Sławny niemiecki okulista, doktór Hugo Magnus, uczeń Darvin'a, napisał historyę nauki której życie poświęcił, z zupełnie oryginalnego stanowiska. Postawił sobie do rozwiązania zadanie: czy organ wzroku u ludzi był zawsze równie doskonały i odznaczał się taką jak dziś delikatnością wrażeń? Czy do jakiejkolwiek odniesiemy się epoki, wszyscy ludzie dostrzegali i odróżniali zawsze, jak obecnie, wszystkie kolory widma?... I dochodzi do szczególniejszego wywnioskowania, że ludzie pierwotni, nieokrzesani, mają zaledwie jakieś niewyraźne i bezładne pojęcia o kolorach, i nawet nie wszystkie rozróżniają. Zresztą spostrzeżenia te jego nie do samego tylko odnoszą się wzroku; ale i do innych zmysłów, które u nieoświeconych ludów są bardzo słabo rozwinięte. Dawno już mówili filozofowie: uczymy się „patrzeć,“ uczymy się „słuchać,“ zatem rzecz prosta że prostak albo dziki człowiek, inaczej niż ucywilizowany patrzy i słucha.

Śpiew dzikich nie ma ani harmonii ani modulacyi a nawet najciemniejsi dzicy żadnego o śpiewie nie mają pojęcia i nigdy nie śpiewają. Przez cywilizacyę także wyrabia się poczucie ironii, czyli zmysł powonienia; niejednokrotnie nawet Pismo Święte potwierdza to zdanie. Starożytni w widmie słonecznem widzieli nie siedm, ale trzy tylko kolory. Najświetlniejsze, najsilniej oddziaływające na wzrok, są: pomarańczowy, czerwony i żółty; niebieski i fioletowy są mniej wyraźne; zielony pośrednie zajmuje miejsce. W starożytności zdaje się wiedziano tylko o czerwonym i żółtym. Według Pliniusza, nawet chcąc największy wywołać efekt, malarze używali tylko tych dwóch barw, pomieszanych z czarnem i z białem. Najkosztowniejsze materye kolorowane były na czerwono i na żółto. Ani w dziełach literatury sanskryckiej ani w Homerze nie ma wzmianki o kolorze zielonym; opisując wsie Homer używa zawsze przymiotnika odnoszącego się do koloru żółtego. Później, nazwy zielony i niebieski, oznaczają kolor przedmiotów zupełnie odmiennych. Geiger dowodzi iż przekonał się że ani w poematach Rig-Veda i Avesta, ani w Biblii, ani w poematach Homera, ani w koranie, ani w pomnikach literatury fińskiej i skandynawskiej, nie ma najmniejszej wzmianki o kolorze niebieskim, nie ma słów aby go określić i nazwać. Do dziś dnia mieszkańcy Birmanii zaledwie mogą odróżnić kolor niebieski od zielonego. Były pierwszy minister angielski, Gladstone, który w chwilach wolnych od zajęć politycznych studyował Homera pod względem pojęć artystycznych, jakie mógł mieć poeta grecki, odnośnie do kolorów doszedł do tegoż samego wniosku co doktór Magnus, to jest: że sławny poeta epiczny, znał tylko kolor czerwony, żółty, biały i czarny, oraz odcienie światła i cieni. Wnioski te uczonych niemieckich i angielskich są żywo zaprzeczane i dały powód do zaciętych sporów. Lecz nie podpisując się z góry na wszystkie wywnioskowania doktora Magnus'a, zdaje się nie ulegać zaprzeczeniu, że konstytucya oka nie zawsze była taką jak jest dziś, tym więcej że liczne doświadczenia wykazały, że nawet w obecnym czasie nie wszyscy ludzie jednakowo widzą kolory — zatem możnaby przypuścić „à priori“ że zmysł wzroku człowieka bardzo się wydoskonalił.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Biblioteka Przedruków 2. Erazma Glicznera Książki o wychowaniu dzieci. Kraków nakładem księgarni D. E. Friedleina. Kraków 1876.

(Dokończenie).

Dalej zastanawia się autor nad kwestyą, w jakim wieku należy rozpoczynać naukę z dziećmi. Zbija przytem zdanie tych, którzy nie radzą uczyć dzieci przed 12 rokiem życia, ażeby rozum już nieco dojrzał i do przyjęcia nauk stał się zdolnym i jest zdania, ażeby zaczynać uczyć dziecko od lat najmłodszych, a mianowicie od 4 lat. W rozdziale tym znajdujemy ciekawą, choć pobieżną wiadomość o nauczaniu łaciny przez ówczesnych bakałarzów. „Pospolicie bakałarzowie dzieciom piszą wokabuły dwie słowie po łacinie, a dwie po polsku: sanctus—święty, maledictus—przeklęty. Który sposób uczenia niedorosłych dziatek niebardzo zły jest, albowiem tak dziecię wykładać i rozumieć się słów nauczy, niejako też rzeczy łacińskiej sobie nabędzie, nałoży i jakoby naśpiżuje. Potem zaś wierszyki im całe dają: Ama Deum super omnia (kochaj Boga nadewszystko), Homo sine litteris speculum impolitum (człowiek bez nauki jak zwierciadło niepolerowane), te wierszyki eksponują (tłómaczą) im na polskie; naostatek, gdy się nauczą dobrze czytać, dobrą a zupełną łaciną, w której będzie wiersz dwanaście, dwadzieścia piszą, a tak aż dziecię samo z tych małych rzeczy weźmie rozum i będzie przez się wiedziało, czegoby się uczyć miało“(str. 82).

Zdrowo i zasadnie rozumuje także autor w kwestyi: „co jest lepiej — jeśli dziecię do szkoły dać, czyli jemu chować doma pedagoga albo bakałarza.“ Oświadcza się, oczywiście, za pierwszem mówiąc: „dawne a iście dobre jest na tę rzecz podobieństwo (porównanie): jako ten, który na dworze będąc, od gorącości słonecznej rychlej ogora, niż doma od gorącości płomienia domowego albo swojskiego, tak ten który w szkole między zgromadzeniem jakiem żaków studentów uczy się, rychlej będzie co umiał niż ten który doma tylko sam albo między dwiema od bakałarza czego słucha. Albowiem jako ogień domowy tylko zaradza, a nic prawej czerwoności ani też ustawicznej i trwałej farby na lice kładzie, zaś gorącość słoneczna prawie smakuje, tak iż tego żadną miarą ani woda, ani wiatr ani żadna insza rzecz zmyć albo oddalić i zgubić nie może: tym sposobem się też mają ci między sobą, którzy między gromadą jaką studentów studują, od tych, którzy doma tylko sami, jakoby jacy pustelnicy albo mniszy w klasztorze szkołują.“ Słusznie także powiada autor, że nauka publiczna w szkołach wdraża dzieci do śmiałości i życia towarzyskiego, a samotne kształcenie się w domu wyradza lękliwość i nawet prowadzi do egoizmu, gdy dziecię, niby żółw, coprędzej ucieka do swojej skorupy.

W następnym rozdziale mówi autor, jakich nauczycieli trzeba wybierać dla dzieci. Powiada, że nauczyciel powinien być prawym chrześcianinem, powinien sam znać dobrze naukę, celować moralnością i dobrymi obyczajami, wreszcie dbać ażeby istotnie nauczyć coś dziecko, a nie wyłącznie o zapłatę. Co do chrześciaństwa, autor, jako protestant, wyraża się oględnie; potępia tylko krańcowe herezye Aryusza, Serweta i t. d. Przy tem chlubnie wspomina spółczesnych sobie dobrych nauczycieli, jak Eustachego Trepkę, nauczyciela dzieci Łukasza z Górki, znanego protestanta i niejakiego Nadarzyckiego.

W następnym rozdziale Gliczner zastanawia się,

ile rodzice mają łożyć na naukę dzieci. Dowiadujemy się ztąd że i wtedy, jak i dzisiaj, rodzice chętnie wydając daleko więcej pieniędzy na zbytki, na naukę dzieci zaledwie obracali marny grosz, stękając i ubolewając. Mamy tu także ciekawą wiadomość, ile wówczas płacono bakałarzom za naukę: „*introitales* (wpisowe) dwa pieniądze, *cretales* (na kredę i wydatki szkolne) pieniądz, *remissionales* (podarek dla nauczyciela) szeląg, a *precyum* (opłata) kwartalne dwa grosza.“ Grosz, podówczas srebrny, znaczył wtedy prawie tyleż, co późniejszy złoty.

W jednym z dalszych rozdziałów autor upomina rodziców, ażeby szanowali nauczycieli swoich dzieci. Ztąd widać że i wtedy stan nauczycielski lekceważono, jak dzisiaj, pomimo że wszyscy wyznawali wielkie jego znaczenie. Wymownie dowodzi autor że nauczyciele, jako rodzice z ducha, niemniej, a czasami więcej znaczą od prawdziwych rodziców. Jako ciekawy rys obyczajowy wyczytujemy tu że i w XVI wieku, jak niegdyś w starożytności, rodzice obchodzili się niekiedy z nauczycielami swoich dzieci, jakby z niewolnikami. Niejeden groził nawet śmiercią bakałarzowi, mówiąc: „niebardzo mi syna bij, bo mi tego gardłem przypłacisz.“

Ciekawy jest rozbiór kwestyi: czy lepiej uczynić syna księdzem, czy ożenić. Autor radzi raczej to ostatnie, niby dla tego że księża w jego czasach byli prześladowani, a ponieważ dużo było złych księży, wypadało cierpieć za nich także dobrym i niewinnym. Ponieważ tu chodzi o księży katolickich, jako bezżennych, autor w obszernych swych wywodach, pomimo wielkiej oględności, zdradza wyraźną swą niechęć do duchowieństwa.

Dalej mówi autor o tem, kiedy i jak żenić syna — rzecz ta w XVI wieku, jak wiadomo, należała także wyłącznie do rodziców. Opierając się na powadze Arystotelesa, a także na potrzebie doświadczenia i mądrości, potrzebnej w trudnej i drażliwej sprawie pożycia małżeńskiego, Gliczner radzi ażeby mężczyzna nie żenił się przed 36 rokiem życia, a kobieta nie wychodziła za mąż przed 18. Co do warunków, od żony wymagalnych, autor zgadza się, ażeby była cnotliwą, piękną i bogatą, zresztą tego ostatniego nie uważając za nieodzowny.

W ostatnim rozdziale radzi autor rodzicom nie opuszczać syna nawet po jego ożenieniu, ale pomagać i wspierać go zawsze. Na tem kończy się książka.

Już z tego pobieżnego rozbioru widzimy, że autor wypowiada w swej pracy wiele myśli trafnych i zdrowych, a w niektórych kwestyach wyprzedził nawet wiek swój, tak że i dzisiejsza pedagogia mało co może dodać nowego, i musi poprzestać na szczegółowem rozwinięciu wypowiedzianych przez Glicznera myśli. W czem jego pojęcia nie zgadzają się już z dzisiejszemi — w głównych kwestyach i to wykazaliśmy w krótkości.

Są także w tem dziele pewne ważne braki i opuszczenia: tak np. ważny dział posług krajowi został zupełnie pominięty, a należałoby choćby wykazać, jak trzeba kształcić syna na dobrego obywatela, a nie wyłącznie do żeniaczki, która stanowi u autora jakby główny cel i koronę wychowania.

Po części może to zaniedbanie uniewinnić ta okoliczność, że Glliczner, jak to zauważyliśmy już powyżej, nie pisał wyłącznie dla szlachty i prawdopodobnie sam nie był szlachcicem, lecz mieszczaninem, posługi zaś publiczne i służba krajowi były wtedy wyłącznym udziałem stanu rycerskiego. O tym stanie rycerskim, który tak wiele zaprzątał wszystkich pisarzy spółczesnych, autor nasz mało nawet wspomina, a i wyrazy *szlachcic*, *szlachectwo*, *klejnot rycerski* (herb) i t. p. tak niezbędne na każdej prawie stronicy utworów pisarzy owej epoki, u Glicznera napotykamy niezmiernie rzadko. Czasami grzeszy on zbytkiem ogólników, rozwlekłością i nadużywaniem przytoczeń z Pisma Św. i z autorów klasycznych, co zresztą było niemal powszechną wadą literatury owej epoki.

Co do języka i stylu, niesłusznie niektórzy historycy postawili dzieło Glicznera obok wzorowych pomników literatury Zygmuntowskiej. Rozpatrzywszy się teraz w tem dziełku, widzimy że Glicznér włada wprawdzie dobrze językiem, ale niekiedy styl jego bywa chropawy i ciemny, a szyk wyrazów wymuszony i nienaturalny.

Kilka próbek języka Glicznera przytoczyliśmy powyżej w kilku jego zdaniach. Trudno odmówić mu często jędrności, a mnóstwo dobitnych wyrazów, dziś wyszłych z użycia i prawie niezrozumiałych, stwierdza raz jeszcze ten pewnik, że język polski za Zygmuntów był bogatszym i wyrazistszym od dzisiejszego. Co do pisowni, wydawcy już to ją zachowali w niektórych wyrazach, już to przerobili na dzisiejszą, to jest jęli się metody bezsprzecznie najgorszej.

Nie wiemy np. dla czego w wielu miejscach czytamy *sie* i *bedzie*: (choć trafia się także *sie* i *będzie*) niemasz bowiem wątpliwości, że choć w XVI wieku niejednakowo oznaczano brzmienia nosowe, a czasem i nie oznaczano ich wcale, to jednak brzmienia te istniały jeszcze w nienaruszonej zupełności.

Papier i druk wydania bardzo piękny i książeczka w ogóle zasługuje na życzliwe przyjęcie.

W.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w ostatnim kwartale 1878, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . . . **rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczej, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczej i zwierzęcej, jak niemniej zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju. W kwartale IV r. b. wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

Zawiadomienie.

Z dniem 16 b. m. września w mieście Nieszawie nad rz. Wisłą, otworzoną została pracownia kobiet, gdzie uczennice uzdolniać się mogą fachowo w krawiecczyźnie, szyciu bielizny, znaczeniu tejże i t. p. Pracownia prócz przychodnich przyjmuje i uczennice stałe, którym zapewnia się macierzyńską opiekę, oraz wszelkie wygody, a przy wykładzie pracy rąk, według chęci i zdolności wykładane będą nauki i talenta. Pracownia przyjmuje obstalunki sukień, okryć, salop, bielizny, koronek, kwiatów i t. d.

G. P. Biernackie.

Przyjaciela Dzieci Nr. 38 wyszedł z druku i zawiera:

Samogłów (z drzeworytem). — Syn cieśli, powieść C. Fallet'a przekład Jadwigi Witkiewiczówny. — Pogadanki z Ojcem (z drzeworytem). — Piętnastoletni kapitan.— w Dodatku: Frank Osbaldyston.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 5 Сентября 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).



N. 1. Bluzka i majtki dla chłopczyka lat 5—7. Krój podług formy do ryc. 8 w N. 18. Tygodnika.

Opis do N. 37.

(Dokończenie).

N. 25—26. Suknia z długim fałdowanym stanikiem, dla niedorosłej panienki.

Na suknię służyć może wszelki materyał wełniany dobrany w dwóch cieniach, lub dwóch kolorach. Ryc. 25 przedstawia z tyłu suknię z tuniką spódniczkową z boków podpinaną i ze stanikiem fałdowanym z długą baskiną przepasanym paskiem. Na ryc. 26 stanik fałdowany z kwadratowym wykrojem jest paltocikowo przedłużony z przodu, a spódnica ubranadraperyą szalową. Garnirunek stanowią plisowane falbanki z jasnego materyału z ciemnym obrębem, plisy i riusze ciemne.

N. 27—28. Dwa kaftaniki negliżowe.

Krój podług ryc. 32 i 35 w N. 31 Tygodnika.

N. 27 Kaftanik z haftem kolorowym.

Luźno wcięty perkalowy kaftanik z kolorowo haftowanemi falbankami i odpowiednio przyozdobioną spódniczką, stanowi ładne ranne ubranie. Kaftanik zapina się z boku pod garnirunkiem, zwierzchnia połowa przodu jest znacznie szersza od spodniej, a garnirunek naszyty jest na niej w kształcie plastronu. Wykładany kołnierzyk i krawatka z wązkim kolorowym szlaczkiem dopełnia ubranie.

N. 28. Kaftanik z haftem madera i koronką.

Batystowy z przodu otwarty kaftanik, ozdobiony jest wstawką haftowaną 3 ½ cent. szeroką, falbankam haftowanemi 4 i 3 cent. szerokiemi, przyszytemi do wstawki skośną, stębnowaną pliską i koronką nicianą 8 i 4 cent. zeroką prszyszytą pod falbanką. Rękawy przy zwierzchnim szwie do łokcia otwarte i zaokrąglone, zdobią kokardy ze wstążki atłasowej 3 cent.szerokiej; z przodu przy podłużnym wykroju, kaftanik spięty jest kokardą z wstążki 5 cent. szerokiej.



N. 2. Ubranie z paletocikiem dla małej dziewczynki. Krój jak do ryc. 20—21 w N. 18. Tygodnika.



N. 3. Sukienka princesse dla panienki lat 8—10. Krój jak do r. 6 w N. 18.

N. 4. Sukienka z vêtement paltocikowem dla dziewczynki lat 3—5. Krój paltocika jak do ryc. 32—33 w N. 27.



N. 5. Suknia ze stanikiem z baskiną i tuniką. Patrz model tuniki na ryc. 15 rękawy na ryc. 12—13 w N. 37.

Opis do N. 38.

N. 1. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7.

Odpowiedni krój patrz ryc. 8 w N. 18.

Odrobione jest z angielskiego płótna, szarego koloru i zdobne wązkiemi pliskami z białego syrtyngu. Bluza przedłużona trochę za stanliczy z przodu 37, z tyłu 40 cent. długości z przodów założone są kontrafałdy po 3 cent. szerokie przyszyte białemi pliskami, kołnierzyk 5 cent szeroki ma rogi trochę zaokrąglone.

N. 2. Ubranie dla małej dziewcznnki.

Odpowiedni krój patrz ryc. 20—21 w N. 18.

Słada się z fałdowanej spódniczki, bluzki i paletocika do wyjścia na ulicę; za materyał służy batyst piaskowego koloru. Paletocik ma podwójną pelerynkę, podwójnie wyłożone mankiety i kieszonki zdobne pliską z wypustką szafirową. Kokardy z wstążki serge; guziczki z konchy perłowej.

N. 3. Sukienka princesse dla panienki lat 8—10.

Odpowiedni krój patrz 18. 6 w N. ryc.

Plecy sukienki dopełnione są u dołu częścią fał-



N. 6. Suknia formą princesse z draperyą szalową. Patrz rękawy ryc. 12—13 w N. 37.



N. 7. Próbka roboty na kanwie na pantofle, poduszki i t. p.

dowaną 15 c. długą, której przyszycie przysłania potrójna plisa 6 cent. szeroka. Przód u dołu ma plisowanie 15 cent. szerokie; wzdłuż przodów odznaczony jest paletocik naszyciem pliski 3 cent. szerokiej i plisowania. Przedstawiona na ryc. 3 sukienka była z popielatego sefhiru z niebieskiemi wypustkami.

N. 4. Sukienka z vêtement paletocikowem, dla dziewczynki lat 3—5. Krój patrz ryc. 32—33 w N-rze 27.

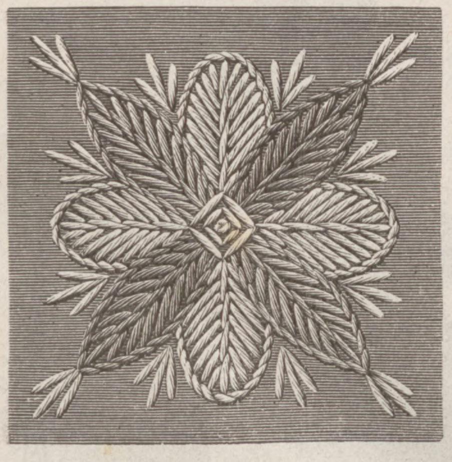


N. 9. Kokarda do kołnierzyka ozdobiona wyszyciem krzyżykowem.

Paletocikowe vêtement zapina się z boku nakryte haftki, zwierzchu zaś ma dane dwa rzędy guzików. Pliski 2 $1/2$ cent. szerokie z ciemnemi wypustkami, wyszyte kolorową bawełną stanowią przyozdobienie.

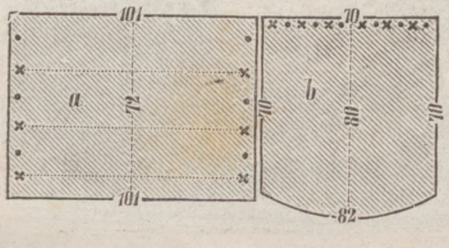
N. 5 i 15 tudzież 12—13 w N-rze 37. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

Suknia z jasno popielatego beżu ma plisy, kokardy i szalowy kołnierz z materyi jedwabnej w pasy czarne i bronzo-

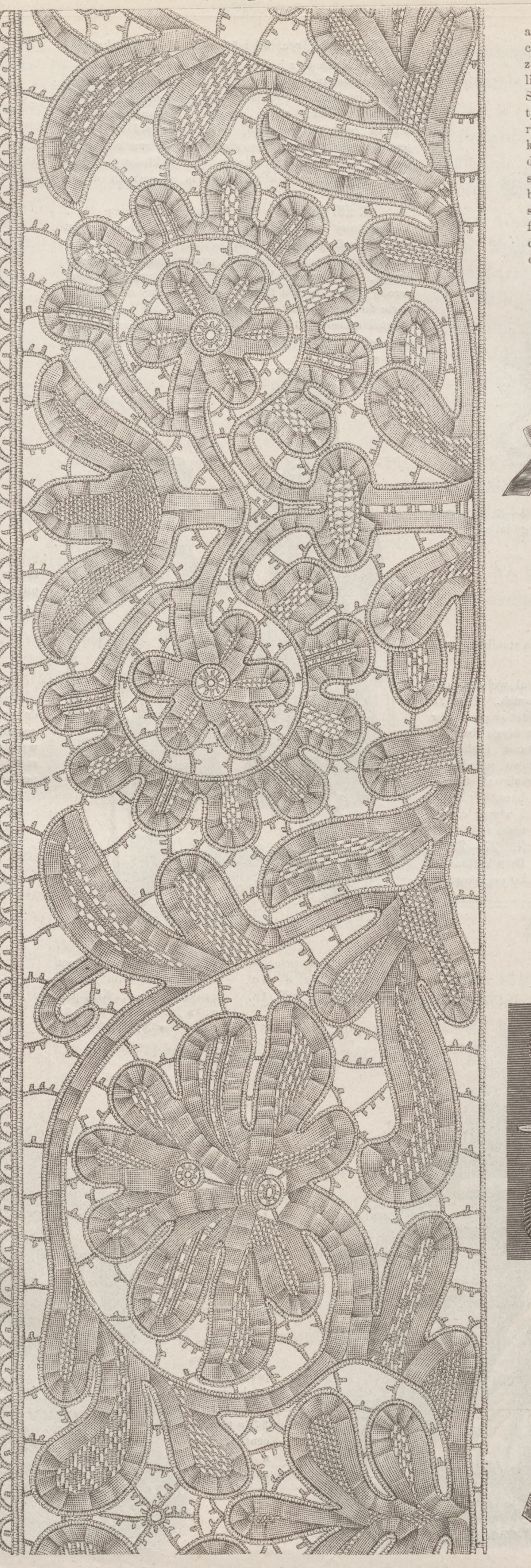


N. 11. Wzór, haftu na materyale meblowym ściegiem płaskim długim i sznureczkowym.

we. Stanik ma brzegi oszyte grubą wypustką, a plecki u dołu podwinięte w pukle. Rycina 15 załącza wskazanie kroju tuniki; *a* oznacza połowę przodu; na linii kropkowanej wypisana szerokość dolna

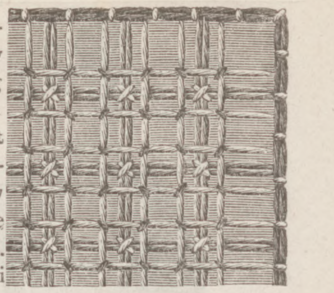


N. 14. Zmniejszony rysunek i miary tuniki do ryc. 24 w N. 37.



N. 13. Koronka irlandzka z cienką nicianą wązką tasiemeczką służyć mogące do bielizny kościelnej lub do przybrania sukien.

a brzeg wycina się w ząb podług linji prostej. Szeroki bryt tylny *b*, u góry zebrany w kontrafał do 11 cent. szerokości i boków łączy się z przodem fałdowanym do 116 cent. długości a następnie pasując gwiazdka do gwiazdki przepina poprzecznie, podług ryc. 5. U dołu sukni wolant 56 cent. szeroki naszyty plisą jedwabną. Przybranie rękawów wskazują ryc. 12—13 w N-rze 37.



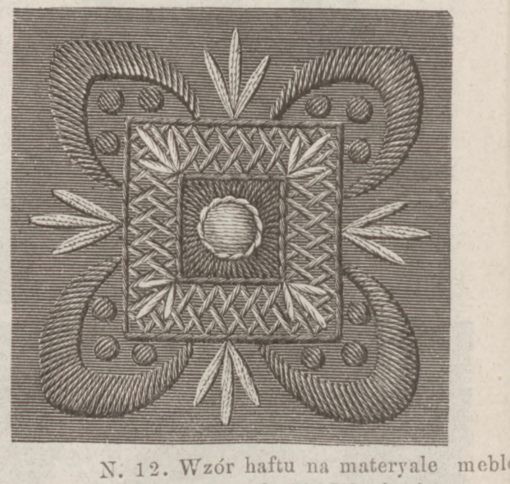
N. 8. Wyszycie na materyale meblowym ściegiem długim.

N. 6. Suknia princesse z szalową draperyą.



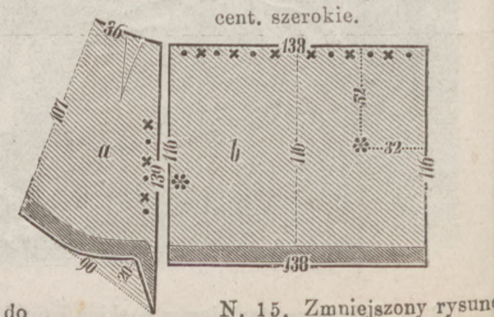
N. 10. Żabot z muślinu wstążki i koronki.

Odrobiona z piaskowego beżu, ozdobiona jest szeroką nicianą koronką i granatową materyą. Przody przybrane są bufami ze skośnego kawałka, przemarszczonego drobno co w równych odstępach do 3 cent. szerokości. Szalowe upięcie składa się z prostego bryta 126 cent. szerokiego a 170 długiego, danego do przodu, z jednej strony sfałdowanego do 85 cent. z drugiej zaś do 30 przerzuconego skośnie podług ryc. 6; z tyłu dane są dwa proste bryty około 100 cent. długości a 85 cent. szerokości oszy-

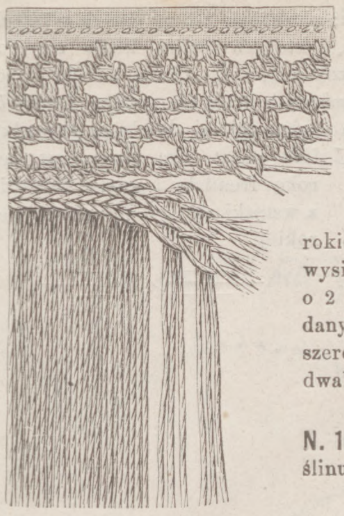


N. 12. Wzór haftu na materyale meblowym ściegiem płaskim długim i sznureczkowym

te koronką, zebrane u góry i przytwierdzone na sukni pod sutą kokardą, dalej przerzucone nakrzyż a u dołu wolno puszczone. Dół sukni zdobi plisowanie 17 cent. szerokie.



N. 15. Zmniejszony rysunek i miary tuniki do ryc. 5.



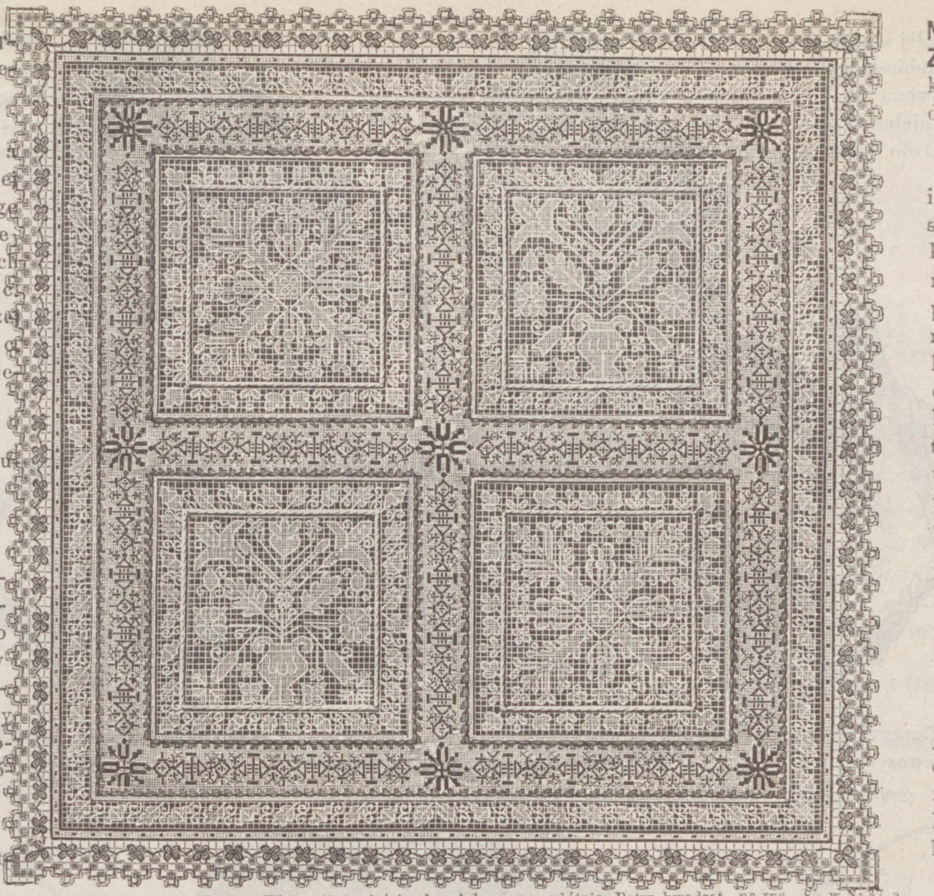
N. 17. Powiększona próbka roboty frendzli r. 18 do serwety r. 16. Robota macramé.

N. 9. Kokarda do kołnie rzyka.

Związa n z kolorowe wstążki serg 9 cent. sze rokiej, w końcac wysiepanej na 9 c o 2 cent. powyże dany szlaczek 17 c szeroki wyszyty je dwabiem białym.

N. 10. Żabot z mu ślinu koronki i wstążki.

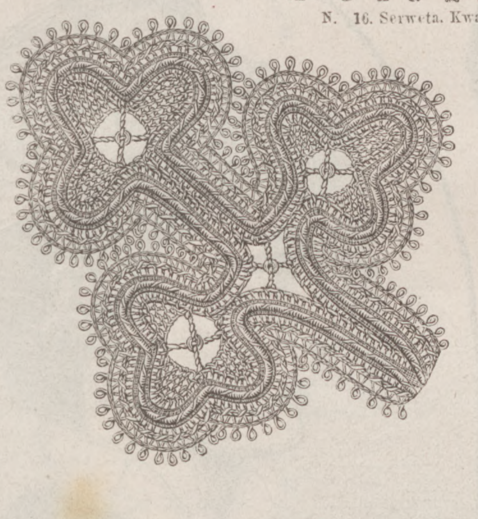
Trójkątny kawałek muślinu, z prostych brzegów po 36 c. długi, oszyty koronką 4 cent szeroką, złożony w potrójną kontrafałdę, tak aby fałdy schodziły się do środka. Kokardy ułożone podług ryc. 10 z wstążki niebieskiej i różowej, 3 cent. szerokiej.



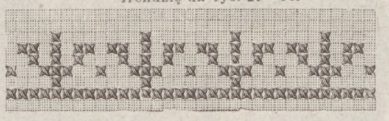
N. 16. Serweta. Kwadraty z Filet-antique i ścieg krzyżykowy na płótnie. Patrz kwadrat na ryc. 8 w N. 37 a frendzlę na ryc. 17—18.

N. 16—18. Serweta. Ścieg krzyżykowy i siatka (filet-antique). Patrz ryc. 8 w N. 37.

Kwadraty z siatki odrobione podług ryc. 8 w N. 37 łączą się z sobą pasami 6 cent. szerokiemi z batystu, płótna cienkiego lub płótna kanwowe g o, wyszyt e m i kolorową bawełną ściegiem krzyżowym. Brzegi serwety oszyte są szlakiem haftowanym 3 cent. szerokim, pliską batystową lub płócienną 1 cent. szeroką i koronką siatkową 6 cent. szeroką. Oprócz wzoru kwadratu jaki załącza ryc. 8 znajdą czytelniczki inne piękne wzory w dawniejszych lub w przeszłorocznych N-rach Tygodnika. Tło siatki i wywodzenie matowe jest z nici N. 60 korzonki i obwodzenie matowych figur dane z nici N. 40. Desenie na ścieg krzyżowy znajdują się nie ledwie w każdym N-rze Tygodnika. Zamiast koronki siatkowej można brzegi serwety oszyć frendzlą z nagłówkiem dzierganym, jakiej próbki dają ryciny 17 i 18.



N. 20. Zakończenie do krawatki ze wstążki Koronka irlandzka.



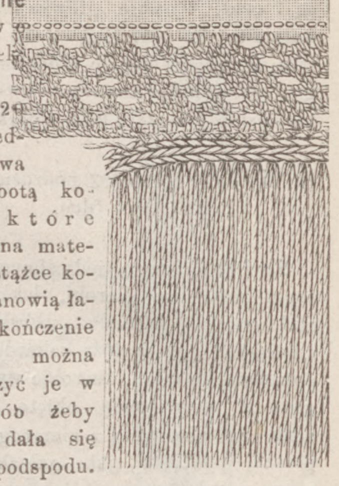
N. 19 Szlaczek robotą krzyżową do sukienek dziecin i t. p.



N. 22. Kosz na roboty, negliżyki albo na drobiazgi brudne. Szlak wyszyty krzyżykami, kratka ażurowa, i frendzla wiązana.

N. 20—21. Zakończenie koronk o w do krawatek.

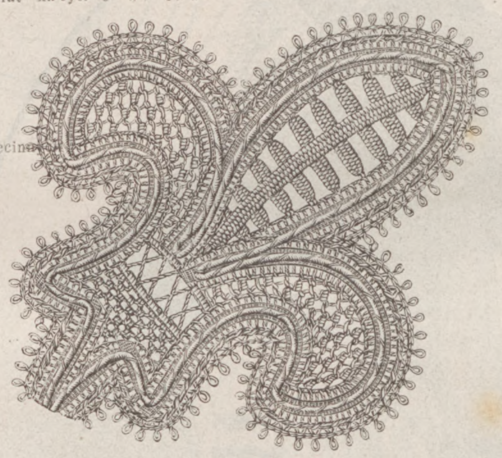
Rycina 20 i 21 przedstawia dwa liście robotą koronkową, które przyszyte na materyi lub wstążce kolorowej stanowią ładne zakończenie krawatki; można także wszyć je w ten sposób żeby wstążka dała się wyciąć z podspodu.



N. 18. Frendzla robotą zadziergiwaną i szytą do serwety ryc. 16.

N. 22. Kosz nadrobiazki, negliżyki i t. d.

Kosz 72 cent. szeroki, 48 średnicy mający pleciony z czarno lakierowanej trzciny, ozdobiony złoceniem, ma przykrycie wypukłe zarzucone małą serwetką wyszytą ściegiem krzyżowym a boki ozdobione pasami takiegoż haftu; na tle z białego płótna i frendzlą z szeroką torsadą, robotą wiązaną. Serwetka zarzucona na wierzch liczy bez frendzli 35 cent. w kwadrat i jest wyszyta na kanwie jawa. Desenie na ścieg krzyżykowy znajdują się w dawniejszych N. Tygodnika.



N. 21. Zakończenie do krawatki ze wstążki Koronka irlandzka.

N. 24. Kapotka z florenckiej słomki, dla małej dziewczynki.

Ozdobiona jest białą repsową wstążką 2 cent szeroką, białem piórkiem i bukiecikiem niezapominajek; od spodu podgarnirowana riusza tiulowa.

N. 25. Czapeczka dla chłopczyka.

Odpowiedni krój podany był w ostatnich N-rach ro przeszłego.



N. 23. Szlak do ryc. 5 w N. 37. Aplikacya haft koronkow.

Boki czapeczki plecione z grubej białej słomki są 7 cent. wysokie główka zaś jest z niebieskiego kaszmiru 25 cent długa a 50 u dołu obwodu mająca, szpiczasty koniec ozdobiony rozetą niebieskiego jedwabnego sznura z kwastami. Dwie plisy niebieskie otaczają boki słomkowe.

N. 26—27. Kapelusz podróżny z popielatego filcu.

Skos popielatego jedwabnego repsu, 15 cent szeroki, lekko zfałdowany otacza główkę i związany jest w dużą kokardę, posuniętą do tyłu. Szerokie wygięte z boku rondo, objęte 6 cent. szeroką plisą z ciemnego pluszu, podpięte jak gałązka róży, pod którą przytwierdzony jest woal gazowy 1 ½ metra długi.

N. 28. Kapelusz z białej słomki.



N. 24. Kapotka z florenckiej słomy dla małej dziewczynki.

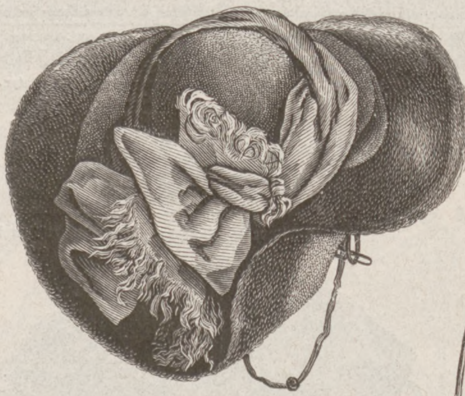
N. 25. Czapeczka dla małego chłopczyka. Forma była podana w końcu r. 1877.

je krój chusteczki; *a* oznacza formę dwóch niższych części chusteczki, z których wyższa kraje się podług linii kropkowanej; zwierzchnia trzecia część, bez szwów na ramionach kraje się podług formy *b*, następnie łączy z poprzedniemi składając gwiazdkę do gwiazdki. U dołu chusteczka oszyta jest szeroką frendzlą i spiętą kokardą z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.

—×—



N. 26. Kapelusz podróżny z popielatego filcu. Patrz także ryc. 27.



N. 27. Kapelusz podróżny z popielatego filcu. Patrz także ryc. 26



N. 28. Kapelusz biały słomkowy.

Płasko spadające rondo kapelusza z angielskiej słomki podszyte jest od spodu czarną aksamitką 3 cent. szeroką. Wysoka główka otoczona riuszą z piór białych, z pod której wysuwa się koronka fałdowana w kontrafałdy, 8 cent. szeroka. Z tyłu kokarda z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.

N. 29. tudzież ryc. 21 w N-rze 37. Chusteczka formą pelerynki.

Odpowiednia dla młodych panienek do zarzucenia przy wyjściu na ulicę składa się z trzech, zachodzących na siebie części. Rycina 21 w. N-rze 37 wskazu-



N. 29. Pelerynka chusteczkowa. Patrz zmniejszony model i miary na ryc. 21 w N. 37